

LEGJON



Kielce. Sierpień 1914.

CZASOPISMO ZWIĄZKU LEGJONISTÓW POLSKICH
WYDAWCA ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU LEGJONISTÓW
W A R S Z A W A

KOMENDANT DO NAS.

(1 9 3 0)

Kochani Koledzy! Przyzwyczajony jestem na naszych zjazdach sierpniowych zawsze bywać i mówić. Gdy zaś mówić nie jestem w stanie, postanowiłem tym razem na zjeździe i nie być.

Myślą i sercem będę z Wami, jak Wy wszyscy przeżywać tę chwilę.

Gdy zdawało się, że stare słońce zgasło a wstało nowe, całkiem inne — paliło ono i grzało całkiem nowymi i innymi promieniami, darząc wiosną, choć była jesień.

Przyjmijcie serdeczne pozdrowienia od Waszego komendanta.

(—) Józef Piłsudski

LEGJON

CZASOPISMO ZWIĄZKU LEGJONISTÓW POLSKICH

DEDYKACJA.

Waszej szarej, bezimiennej ofierze,
Maciejówce z poźółkłemi orłami,
I Piłsudskim, który wiecznie nad wami,
Jak odpustów poświęcone szkaplerze

Od przygody w zły czas burzy was strzeże,
Przed błędami nawracając drogami,
Waszym płaszczo, poszarpanym kulami,
Ręką w rowach, utrudzonym tak szczerze.

Które z bronią świętą sprzęgło przymierze
I ramionom od plecaków — płachtami;
Tym, co wyszli w noc sierpniową kadrami
I w uroczysk zabużańskich poszmerze

Na wieczystej spółce legli kwaterze,
Sercom wszystkich, których łańcuch nie plami,
Oraz Temu, co was wywiódł, hymn gra mi
Dusza moja — szeregowcy, żołnierze!

Żeście z wiarą przeciw poszli niewierze,
Żeście z Wodzem — pogardzeni i sami
Na gigantów wyruszyli z werndlami,
Żeście dzieci, a już sprawy rycerze,

Duchem jeli cud utajon w snów sferze
I krwawymi tu na ziemi rękami
Jak sakrament wystawili przed nami,
A przed światem jako sztandar na sterze,

Cześć wam bracia szeregowcy — żołnierze.

.....

O żołnierzu ty polski, kochany,
Szeregowcze z siwymi oczyma,
Widzę ciebie — gościniec zdeptany,

Dłoń karabin chłopięca twa trzyma,
W tyraljerce het biegniesz przez łany...
Taka ciebie mroziła serc zima,

Przez tak srogie przeszedłeś już rany,
Szeregowcze z siwymi oczyma,
Bohaterze największy — nieznanym!

WALERY SŁAWEK

Z PRZEMÓWIENIA...

Ofiarność oficerów brygady.

Brygada zrozumiała, że skoro to tanie odczepne, jakie od społeczeństwa walką naszą dostać możemy, środków materialnych na prowadzenie całej pracy nie zabezpiecza, to musimy my sami—oficerowie I Brygady—dać swoje gaże oficerskie.

W grudniu 1914 roku, gdy po raz pierwszy wypłacono nam oficerskie pobory, odbyło się niedaleko, w Lipnicy Górnej, oficerskie zebranie, które postanowiło:

1) Oficerowie, posiadający nominacje austriackie (a więc otrzymujący gaże), przelewają wszelkie swe pobory do wspólnej Kasy Oficerskiej Brygady Piłsudskiego.

2) Oficerowie, mianowani przez Komendę Brygady (a więc niezależnie od tego, czy mają nominacje austriackie, czy też nie), pobierają miesięczną pensję z Kasy Oficerskiej w wysokości 100 koron, zrzekając się reszty na korzyść tejże kasy...

W jednym z dalszych punktów uchwały czytamy: W razie przekroczenia powyższych uchwał i zainkasowania poborów w kasach rządowych, lub w kasach innych instytucji bez zezwolenia Kasy Oficerskiej—naruszający uchwałę zostanie pociągnięty do odpowiedzialności przez Sąd Honorowy.

Wybrana wówczas delegacja opracowała statut, w którym między innymi były następujące postanowienia: ... Uchwałą zebrania oficerskiego w Lipnicy Górnej z dnia 30 grudnia 1914 zabrania się oficerom I Brygady pobierania jakichkolwiek pieniędzy z kas innych, zarówno N. K. N., etapów, jak i rządowych. Wykraczający przeciw powyższej uchwale będą pociągani do surowej odpowiedzialności oraz wykluczeni z grona oficerów I Brygady.

W jednym z dalszych artykułów jest mowa, że każdy oficer, któryby był niezadowolony z uchwały ogółu oficerów—ma prawo otrzymać pełną gażę urzędową, lecz w tejże samej chwili musi wystąpić z I Brygady.

W ciągu roku 1915 Kasa Oficerska uchwalała dodatek 50 koron miesięcznie dla oficerów odkomenderowanych na tyły lub przebywających tam na skutek choroby.

Z pieniędzy—w ten sposób wnoszonych do Kasy Oficerskiej—szły stosunkowo niewielkie kwoty na zapomogi dla rodzin, na pożyczki, częściowo

i ekwipunek i nie dające się uniknąć wydatki. Większe sumy pochłaniała pomoc dla rannych żołnierzy oraz pozycje, figurujące w sprawozdaniu pod tytułami: „Kasa Brygady”, „Fundusz Dyspozycyjny”, „Organizacja”.

W roku 1916, na skutek ogólnego podrożenia pensje, wypłacane przez Kasę Oficerską każdemu oficerowi—bez różnicy stopnia—zostały podniesione do 200 koron miesięcznie.

Jeżeli się zważy, że według norm austriackich wraz z dodatkiem polowym na każdego podporucznika Kasa Oficerska otrzymywała coś około 400 koron, a na pułkownika, o ile się nie mylę, około 1500, każdy zaś z nich otrzymywał z tego w roku 1915 po 100 koron, a w r. 1916 po 200, to jest to miarą ofiary pieniężnej, jaką dawał każdy bijący się na froncie oficer na rzecz bojowego przysposobienia rezerw w narodzie.

Nie chcieliśmy być wojskiem najemnem.

My, awangarda—nie chcieliśmy być wojskiem najemnem i pokazaliśmy, jakie należy ponosić ofiary, kiedy o wolność czy godność narodu sprawa się toczy.

Na pracę P. O. W. wpłynęło w roku 1914 i 1915 jeszcze jakieś kilkadziesiąt tysięcy koron od Komitetu Obrony Narodowej z Ameryki, lecz sumy te były niewielką pozycją w porównaniu do owych pozycji, zatytułowanych w rachunkach „Kasa Brygady”, „Fundusz Dyspozycyjny”, „Organizacja”, które wpłacili na ten cel bijący się jednocześnie na froncie oficerowie.

W lipcu 1917 r. na skutek odmowy złożenia przysięgi Brygada I-sza wraz z całą prawie III-cią i częścią II-ej została rozbita i rozproszona. Najlicniejsi poszli do Szczypiorna, Benjaminowa, Hawelbergu i innych obozów jeńców; część zdegradowanych oficerów została wcielona do wojska austriackiego i rzucona na front włoski; część wkońcu—po zrzuconiu munduru—stała do pracy organizacyjnej i instruktorskiej w P. O. W., nadkruszanej jednocześnie przez aresztowania.

Brygada przestała istnieć, a za pieniądze oficerów tej Brygady prowadzone były dalej prace organizacyjne, mające na celu przygotowanie rezerw, które, jak następnie historia pokazała, wprowadzone zostały do działania w momencie rozbrojenia okupantów. Pieniądze oficerów podegradoowanych lub siedzących za drutami—pokrywały wydatki tej pracy aż prawie do przełomowego momentu.

„Czynów dokonywa się w świecie politycznym przez armję“.

Adam Mickiewicz

BOLESŁAW WIENIAWA - DŁUGOSZOWSKI

KOMENDANT PIŁSUDSKI SAM O SOBIE

W r. 1915 w maju na pozycji pod Konarami w rozmowie z Sosnkowskim, Berbeckim i ze mną, na temat propozycji oddania Komendantowi dowództwa nad całością Legjonów za cenę kompromisu, z koncepcją austriacko-polską:

„Jak zdołaliście już może spostrzec, rozumię odmiennie i postępuję inaczej, niż większość naszych rodaków. Podczas gdy większość z nich chce wygrać Polskę w totalizatora i zależnie od przewidywań, kto będzie zwycięzcą, stawia na jedną z walczących stron, ja, wyszedłszy z założenia, że każda na terenie Polski rękami polskimi zorganizowana siła, jest lepszą dla przyszłych losów Jej gwarancją, niż obietnice austriackie i rosyjskie razem z francuską, czy angielską protekcją. stwarzam wszelkimi sposobami i we wszystkich postaciach realną siłę, która w momencie likwidacji wojny tem donioślejsze będzie miała znaczenie, że z wojny tej zarówno, zwycięzcy jak i zwyciężeni wyjdą znacznie osłabieni.

* * *

Nie mogąc przewidzieć, czy i w jakiej mierze nasza praca i nasze wysiłki przyczynią się do urzeczywistnienia naszych ideałów, w przeciwieństwie do tych panów, co gębami od morza do morza szerokimi, różne maksymalne stawiają programy i żądają niby Polski od morza do morza, by w końcu jakiś mały jej skrawek do jakiegoś obcego doczepić tronu, ja jestem minimalistą.

Mam pewien minimalny program.

Istnieje mianowicie jedna wartość, która od nas jedynie zależy, którą my wyłącznie rozporządzamy. Jest nią nasza żołnierska cnota, nasz honor żołnierski. Otóż ja dla żadnych wątpliwych korzyści, dla żadnych obietnic kuszących od naszego honoru wojskowego, od naszej cnotki wojskowej nie ustąpię. Do końca dobrego czy złego donieść tę cnotę bez plamy, niczego z niej nie uronić—oto mój program minimalny”.

* * *

W zimie 1915 na 16 na kwaterach w Leśniewce w rozmowie ze mną, kiedy dałem wyraz zdziwieniu, że Komendanta zwalczają przeróżni ustni i pisemni patrioci, którym imię Kościuszki nie schodzi z ust, choć przecież Komendant jest uosobieniem kościuszkowskich tradycji:

„Rzecz tłumaczy się bardzo prosto. Powoływać się na Kościuszkę, posługiwać się jego imieniem, zachwycać się nim i solidaryzować z jego ideałami może każdy bezkarnie, bez konsekwencji i bez kosztów. Bo Kościuszko nie żyje. Kto solidaryzuje się ze mną—musi płacić wysiłkiem, męką i trudem, ofiarą wolności i życia. Kiedyś, gdy mnie już nie będzie, będę miał także miliony równie zapalczywych i podobnie im nie ryzykujących wielbicieli. Będę dla nich wzorem patrioty i duchowym wodzem narodu. Będą się powoływali na mnie i cytowali moje słowa przy każdej sposobności“.

* * *

W jesieni 1916 roku po dymisji z Legjonów, w Zakopanem w rozmowie ze mną, omawiając list Michała Sokolnickiego, który pisał, że pewni członkowie krakowskiego N. K. N. charakteryzują Komendanta, jako złego polityka:

„Z pewnego punktu widzenia mają nawet rację. Cechą dobrego polityka jest między innymi, że umie znaleźć silnego sprzymierzeńca, co przecież daje większą rękojmię zwycięstwa. Otóż oni w walce ze mną sprzymierzają się z silną bądź jak bądź w porównaniu z nami Austrią, podczas gdy ja zwalczając ich szukam poparcia i pomocy jedynie u słabego i rozbitego społeczeństwa polskiego. Dlatego w ich oczach muszę uchodzić za złego polityka“.

* * *

W roku 1920 w Belwederze, kiedy nalegałem, aby Komendant wystąpił przeciw nikczemnym szujom endeckim, atakującym go bezczelnie jak zawsze kłamliwymi oszczerstwami i potwarzami:

„Wy, Królewiaczy, macie śmieszną naturę. Kiedy jadących drogą opadnie pies natarczywym i hałaśliwym ujadaniem, bierze was zaraz ochota, aby wyskoczyć z pojazdu, stanąć na czworakach i zacząć mu się odszczekiwać. My, w Wileńszczyźnie, pozwalamy psu szczekać, bo taka już jego psia natura, ale nie przerywamy przez jego szczekanie podróży i bez wojny z psami spokojnie jedziemy do naszego celu. Wam, zdaje się, na przeszczekaniu psa, na wygraniu wojny z byle parszywym szczeniakiem bardziej zależy, niż na szybkim dojechaniu do celu podróży“.

* * *



W roku 1924 na wiosnę w Sulejówku w rozmowie ze mną, w okresie, kiedy cynizm i oportunizm Witosa uwidaczniał się coraz wyraźniej:

— „Widzicie, chłopcze, w młodości mojej, już za czasów mojej konspiracyjnej roboty, nie umiałem być przykry dla ludzi, nie mogłem się zdobyć na użycie twardego, obraźliwego słowa w stosunku do ludzi, których musiałem prowadzić. W okresie kiedy stałem już na czele pracy i kiedy któryś z mych współpracowników źle, czy niedbale wywiązał się ze swego zadania i gdy zmuszony byłem zrobić mu wymówkę, chodząc godzinami po pokoju szukałem ostrych słów nagany, układałem i przygotowywałem sobie zgóry twarde zdania i karcące frazesy i łamałem się w duchu, mówiąc sobie:

— Ziuk, musisz zrobić przykrość temu człowiekowi; musisz go skrzyknąć, musisz go zburzyć. Dla dobra sprawy. Jeśli się tego nie nauczysz, jeśli się do tego nie przymusisz, robota zacznie się chwiać, ludzie zaczną się zaniedbywać, owoce pracy rozplyną się w nicość.

Dziś wyraźniej niż kiedykolwiek widzę, że jest pewien rodzaj człowieka, który gdy mu powiedzieć: — Panie, zastanów się pan! To co pan robi, jest szkodliwe dla Polski, dla państwa, jest niemoralne, czy nieetyczne,—on ruszy lekceważąc ramionami i będzie pana uważał za moralizującego deklamatora. Dopiero, kiedy dostanie w pysk, to drapie się za ucho i dochodzi do przekonania, że musiał zrobić coś złego“.

W roku 1926 w marcu, w Sulejówku w rozmowie ze mną:

— Wy, moi panowie, jeszcze dotąd nie wiecie z kim macie do czynienia. Patrzycie na mnie, niby widzicie mnie i mówicie sobie — Piłsudski. A tymczasem nas tu jest całe towarzystwo, cała gromada. Więc najpierw: Ziuk, czupurny, uparty chłopak, którego wystarczy przestrzec, że pod grozą skrzywienia karku nie wolno mu się wdrapywać na takie, czy inne drzewo, aby przy pierwszej sposobności znalazł się między najniebezpieczniejszymi jego konarami. Potem, panicz z Zułowa, sentymentalny, romantyczny, delikatny, przepełniony uczuciami humanitarnymi i szlachetnymi popędami. Następnie, Sakya-Muni, mędrzec, który poznał świat i zbadał naturę ludzką do dna, zna jej wszystkie instynkty, skłonności, słabości i popędy. Zna dobre i złe strony duszy ludzkiej i patrzy na nią zimnym okiem, umiającym widzieć poprzez zasłony i maski i pozy. Wreszcie — wódz, biegły w obliczaniu szans i sił swoich i nieprzyjaciela, mistrz w wynajdywaniu miejsca i chwili ataku, umiający czekać na tę chwilę cierpliwie i bez denerwowania się i umiający wykorzystać każdy błąd przeciwnika, by w sposobnym, czy koniecznym momencie tysiące ludzi rzucić w huragan boju jednym okrzykiem: Naprzód, chłopcy!

Rozumie pan, że w tem całym towarzystwie stosunki nie są jednakie; toczą się dyskusje, wybuchają gwałtowne spory, zawierają się przymiery. Czasem Sakya-Muni sprzeciwia się Ziukowi, niekiedy panicz z Zułowa chce opierać się wodzowi. Różne tych sprzeczek i aljansów bywają rezultaty, rozmaicie objawiają się one nazewnątrz. Jedno jest pewne: biada ludziom, biada mym wrogom, jeśli z Ziukiem sprzymierzy się wódz.

„A czyliż żołnierz dobry, biegnąc na nieprzyjaciela, ogląda się na prawo, na lewo? Nie ogląda się, ale naprzód idzie. Bo kto ogląda się na prawo i na lewo, tchórz jest“.

Adam Mickiewicz

WINCENTY RZYMOWSKI

LEGENDA I CZŁOWIEK

Romantyka poezji porozbiorowej kwieciem niebotycznego piękna owiła patriotyzm polski. Ale patriotyzm ten w swych najbardziej strzelistych objawach był siłą negacji, był instynktem destrukcji: był to patriotyzm oparty na przeciwieństwie między narodem a państwem.

Frontem obrony narodowej w ciągu lat stu był front antypaństwowy.

Typem wielkości i bohaterstwa był umierający gladiator, którego jedyne i ostatnie zwycięstwo polegało już tylko na tem, aby skonać mężnie. Nazwy arcydzieł naszej literatury: „Dziady” — „Potop” — „Popioły” brzmiały, jak nagrobki na cmentarzu. A przecież w nagrobkach tych miała tać się ostatnia rękojmia zmartwychwstania.

Spójrzmy poza siebie w te cmentarze uroczystej chwały: któż z nas nie dojrzy, że to, co pozwalało nam żyć w katakumbach, nie tracąc wiary w zmartwychwstanie, staje się dzisiaj ciężką zaporą na otwartej i słonecznej drodze budownictwa państwowego? To, co było lekarstwem, a może narkotykiem lub tylko pobożnym kłamstwem pośród toksyn niewoli, staje się aż nazbyt często buntem przeciw Polsce niepodległej.

Mistyka, legenda, partykularyzm, wiara w cuda i w protekcje zagraniczne, fetysze internacjonalne i bożki nacjonalistyczne, dymy romantyzmu, patriotyzm cierpiętniczy a bezczynny, Monsalwąt i Zborowszczyzna: wszystkie świętości katakumbów niewoli i wszystek faryzeizm, który na tych świętościach żerował, podają sobie ręce, aby przeciw prawdzie Państwa Polskiego, wskrzeszonego krwią żołnierza i genjuszem wodza, stawić mistyfikację Polski, zawieszoną między nadziemską Utopją a targowiskiem przekupniów.

Ponieważ stuletnia przeszłość była dla nas okropną szkołą klęsk i upokorzeń, więc gdy przyszedł Człowiek, który niósł Narodowi zwycięstwo i sam stał się sztandarem zwycięskiego czynu, nie wszyscy z dna swojej niedoli podźwignęli się na głos jego pobudki, nie wszyscy na jego wezwanie powstałi.

Znaleźli się ludzie — i ludzie tacy stanowili większość — którzy do obcego woleli schylić się strzemięcia, niż wzniesć czoło do ojczystej chwały.

A i dziś jeszcze, gdy człowiekowi temu udało się osiągnąć to, czego w Polsce od czasów Bato-rego nikt z wielkich nie osiągał — gdy wokół siebie skupił większość społeczeństwa, nie brak „patriotów”, którzy wolą naród odrzec z zasługi, niż uwieńczyć wodza.

Zasłuchani w katakumby stuletniej niewoli, nie położyli nigdy wieńca zwycięskiego na czoło zasługi, ale jakże chętnie korzystają z każdej sposobności, aby mu dowieść, że typem wielkości człowieczej w Polsce jest człowiek umęczony!

Wiemy, ile w tej mętnej fali, która stopy jego obryzguje podżegawczem kłamstwem lub jadowitą plotką, mieści się pospolitej złośliwości karłów, ile gnuśnego zleniwienia ducha, właściwego wszystkim epokom i wszystkim narodom, gdy złorzeczą i wierzgają przeciw wodzom, przodownikom i zwiastunom. Ale obok tych rysów uniwersalnych występuje też swoista tradycja polska, pozwalająca karłom, zachłystującym się od płaskiej złośliwości, wstępować na koturny patosu.

Tragedja ta polega na tem, że skarbiec naszej przeszłości posiada przewspaniałe szaty godowe dla ulubieńców ofiary krzyżowej: największy nasz poeta w „Dziadach” zapalił stos ofiarny tak ogromny, że łuna jego bije aż w niebiosa i czerwonym blaskiem zakrwawia stopy samego Boga. Nie posiadamy, natomiast, w skarbnicy swej tradycji pięknych, prostych, męskich form czci i uznania dla zwycięskiego wodza, dla szczęśliwego realizatora, dla budowniczego, dla prawodawcy.

Są wciąż jeszcze ludzie, którzy rozumieją i wyznają kult księdza Skorupki, ale nie mogą pojąć zasług wodza, który orężem wykreślił granice państwa.

Zginać bez broni, polec z krzyżem w rękę, to — szczyt ofiary patriotycznej. Rozgromić wroga, wygrać wojnę, ocalić państwo, założyć zręby pod budowę ojczystego domu — to, dla niejedne-

go w Polsce umysłu, wciąż jeszcze zasługa bardzo wątpliwa, sporna i — podejrzana!

Kto w słowach tych chciałby upatrywać przesadę, niech wspomni czasy, w których partje sejmowe zgłaszały zbiorowe interpelacje do rządu, aby na tej dopiero drodze formalnej zyskać wyjaśnienie, za jakie czyny armja polska ofiarowała swemu wodzowi naczelnemu buławę marszałka?!

Tragizm losu i postaci tego wodza polega na tem, że całe stronnictwa polskie do czynów jego przykładają miary, zaczerpnięte z minionego stulecia — najchorobliwszego ze wszystkich stuleci polskich — gdy sąd właściwy o nim wydać mogą dopiero ci, którzy w szkole czynów jego wzrastają.

Jak wyglądać powinienby bohater polski, gdyby chciał dogodzić polskim wzorom kolonizacji?

Nie trudno odgadnąć. A nawet odgadywać nie trzeba, gdyż obraz tego ideału, jakiemu odpowiadać miałyby wódz narodu w ramach stuletniej tradycji, mamy utrwalone w rocznikach naszej państwowości.

Wszak — pamiętamy wszyscy — istniał krótki moment, gdy Komendant Piłsudski połączył w uznaniu dla swego stanowiska wszystkie partje, gdy żadnych nie budził zastrzeżeń nawet w tem stronnictwie, które dziś swą nienawiścią ku niemu prześciga obcych i wrogów.

I nietylko nie budził w niem zastrzeżeń, ale zaufaniem jego cieszył się tak dalece, że w pierwszym gabinecie pp. Świeżyńskiego i Głębińskiego — jeszcze pod skrzydłami Rady Regencyjnej — ofiarowano Jemu właśnie, Komendantowi Piłsudskiemu, urząd ministra spraw wojskowych.

Dziś wydaje się to nieprawdopodobne, a jednak zgodne jest z historją: Piłsudski był w pewnej chwili naprawdę — w oczach Narodowej Demokracji — wielki!

Był wielki, póki był więźniem Magdeburga.

Dodajmy, dla charakterystyki moralnego oblicza owej partji, że gabinet, powoławszy Piłsudskiego do swego grona, nie czynił nic, lub bardzo niewiele, aby mu drzwi więzienia otworzyć i, zresztą, nie spodziewał się wcale, aby te drzwi miały rychło pęknąć.

Oto ów ideał, w jakim pewni nasi „patrjoci” już wtenczas gotowi byli kanonizować twórcę Legjonów, pieśń Pierwszej Brygady!

Gdy Piłsudski, w twierdzy zamknięty, przebywał w niewoli pruskiej, udział w gabinecie war-

szawskim brało tylko jego imię, tylko symbol martyrologji.

Patryjotyczni członkowie rządu — panowie Świeżyński i Głębiński wraz z kolegami — sądzili, że im ten udział nazwiska bez udziału człowieka najzupełniej wystarcza.

Owszem, byli przekonani, że współpraca w tej formie dawać im będzie najlepsze wyniki. Wszak posiadali w swym gabinecie sławę Piłsudskiego, mieli gotowy kapitał Jego czynów bez kłopotliwej, a może i groźnej obecności człowieka, któryby, jak przewidywali, stać się mógł dla nich wyrzutem, nakazem, przymusem, a nadewszystko — ryzykiem.

Pozostawiając tedy Piłsudskiego jego losowi w Magdeburgu, wielbiono imię jego w Warszawie; pielęgnowano legendę jego bohaterstwa i — oczywiście — od legendy tej skrzętnie odcinano kupony doraźnego zysku na rzecz własnego partyjnego kościoła.

I gdyby Piłsudski nie wrócił z Magdeburga, bądźmy pewni, że pomnik Jego „trwalszy ponad śpiże” stałby w sercu tych właśnie rodaków, którzy Go dziś najbardziej zwalczają.

Gdyby pozostał tylko hymnem męczeństwa, tylko ostatniem ogniwem w łańcuchu polskiej martyrologji, poezja spowiłaby Go w swe najwzmożniejsze strofy, a polityka codzienna kapitał Jego ofiary przetopiłaby na drobną monetę, służącą do pokrycia drobnych kompromisów.

Ale Piłsudski popsuł robotę swoim kanonizatorem. Powrócił żyw i niezłamany, silny i nieustraszony!

Zgasił gromnice fałszywego nabożeństwa, wyrócił targowisko przekupniów, zapalił ognie czynu, rozesłał wici na wielką wojnę, porwał naród do zwycięstwa, do wyścigu pracy.

Nie chciał spocząć na marmurowym pomniku, który już żałobnym wieńczono laurem, i aż nazbyt rychło przekonał wszystkich, że jest życiem życia, że jest pogotowiem czynu, że niema kaplicy partyjnej, któraby ducha Jego mogła w sobie zawrzeć i pomieścić, że każdą pozycję zdobytą uważa za stopień do walki o zdobycze nowe.

Tego pogotowia czynu, tego zwycięskiego rozpędu woli, nie mogą Mu darować ludzie, którzy gotowi byli nie tylko uczcić w nim nową edycję Łukasińskiego — dożywotniego więźnia Magdeburga, ale i przejąć po nim całkowitą spuściznę jego Legendy.



Maszerują wojacy...

R. WOYNICZ-HOROSZKIEWICZ

Jak zostaliśmy 1 pułkiem Legionów.

(Z pamiętnika żołnierza).

Kielce, 22. sierpnia.

Jestem więc znów w Kielcach. Po raz drugi zajęliśmy pałac gubernatorski, mamy tu stać dłuższy czas. Przyszły gazety, przyjechali kurjerzy z Krakowa, są ciekawe nowiny. W Galicji tworzą się Legjony pod austrijacką komendą. My podobno mamy być Legją Zachodnią, ogólne z powodu tego oburzenie.

Kielce, 25. sierpień.

Mamy dyżur nocny i rozmyślam o ostatnich dniach. Dużo się jednak przeżyło w bardzo szybkim tempie i zdaje się, że wokół się wszystko zmieniło. Bądź co bądź, jako polskie wojsko, biliśmy się i kwaterujemy w Kielcach. Gdy patrzę na przepustki z pieczęcią Rządu Narodowego — gorąco mi się robi.

Rosjanie bardzo szybko się cofają. Z Kielc uciekają na łeb na szyję, zostawiając mieszkania, rzeczy, kufry. Ot i teraz błąka się tu ładny myśliwski pies, podobno naczelnika kancelarii gubernatorskiej, który był wielkim wyśliwym. Biedny wyżeł chodzi z kąta do kąta i nie może pewnie zrozumieć, gdzie się podział jego pan.

Kielce, 30. sierpnia.

Była dzisiaj wspaniała msza polowa na placu przed katedrą. Odprawiał ją ks. Kosma-Leńczowski, który też wygłosił kazanie.

Po bujnym życiu poprzednim, spokojnie i prawie nudno teraz w Kielcach. Kwaterujemy w skrzydle pałacu biskupiego i urządziliśmy się tu całkiem wygodnie. Kuchnię prowadzimy własną, fasując i kupując prowiant. Do obiadu zasiada zwykle do 20 osób, czasem więcej, gdyż zapraszamy tych, którzy po rozkazy lub na odprawy przyjeżdżają. Są z nami i panie: Sokolnicka, Ob. Ola, Westa, zwykle ze sześć ich jest na obiedzie. Mamy w mieszkaniu fortepian, więc jest muzyka i śpiewy.

Spotykam stale znajomych dawnych. Wrócił z Krakowa Cedro-Późniak, który wyjechał chory. Ludwik Naimski jest tu także, spotkałem też Romana Starzyńskiego.

Kielce, 7. września.

Nie pisałem przez kilka dni nic. Żołnierskie życie w mieście zaabsorbowało mnie, pełne ręce miałem roboty, i konie, i służba, i cukiernia, i park... Pięciu nas jest przy sztabie, ordynansowych podoficerów: Sulistrowski, Dobranicki (Kazimierz), Świtez-Paterm, Adamski i ja. Konie mamy opodal biskupiego pałacu, w stajni obszernej, jest przy nich jeszcze kilku szeregowych, bo mamy pod opieką i konie oficerskie: „Kasztankę” Komendanta, „Karulę” szefa, „Szpaka” Wiczowego, i jeszcze konie Kasprzyckiego, Daniłowskiego

i inne. Komendantem naszym jest „Roman” (Żuliński), szefem stajni Konstanty Dzieduszycki. Jeżdżę na „Hance”, dużej, złoto-gniadej klaczy, z którą niedawno miałem straszne zmartwienie. Kilka koni z drugiej połowy naszej stajni weterynarz Zagrodzki kazał zastrzelić z powodu nosaczyny. Odrazu więc „Hanke” przeprowadziłem do prywatnej stajni na inną ulicę i martwiłem się o nią z tydzień.

Kielce, noc z dnia 9 na 10 września
godzina 12¹/₂ w nocy.

Krótko notuję w notesie: rano o piątej ruszamy, podobno do Krakowa. Odwrót. Wróciłem w tej chwili z koszar kawalerji. Teraz pojechali z rozkazami Kasprzycki i Dzieduszycki. Noc jest śliczna, ciepła, chodziliśmy do późna pod pałacem, bo ciągle są nowe rozkazy i przygotowania. Więcej się mówi o tem co będzie, niż o chwili obecnej.

Kielce, 10. września.

Ku wielkiej naszej radości jeszcze jesteśmy w Kielcach i może tak szybko z nich nie ruszymy.

Grabie Wielkie, 11. września.

Ruszyliśmy jednak. Obiadujemy w Grabiach Wielkich. Sztab stoi w pałacu Wysockich, rzeczywiście bardzo ładnym. Przyjmują nas zimno, nic dziwnego — cofamy się.

Idziemy obecnie podobno, już jako „legjoniści” w stronę Galicji. Ciężko będzie Wisłę przechodzić, a jesteśmy jej coraz bliżej.

Idzie z nami moc cywilnych pojazdów, choć ten marsz jest podobny do wymarszu Księcia Jeremiego z Zadnieprza.

Stopnica, 13. września.

Rozdzielamy się, tabory wykręcają na Kraków, my w stronę Szczucina. Szef Sosnkowski

odjechał gdzieś, zabrał ze sobą Sulistrowskiego. Gromadka nasza powiększyła się, gdyż przybył jeszcze ułan Ludo-Wróblewski. Dzisiaj była wielka dyskusja nad naszą przyszłością, o legionach, które podobno noszą czarno-żółte opaski, po przysiedze którą składali. U nas też w Kielcach 5. września była przysięga, zrobiliśmy z niej jednak szopkę, mało kto na niej był, a ci co byli w nos się śmieli gen. Baczyńskiemu, który ją przeprowadzał.

Wczoraj w czasie marszu, jakiś pułkownik pruski gwałtownie uspakajał śpiewające nasze kompanje, krzycząc: „Die Kozaken sind da”.

W Staszowie zginął w potyczce z Kozakami jeden z Beliniaków — Jasiński. Ja też omal nie miałem przykrej przygody. Ciągłe były alarmy, że Kozacy są obok. Ciemnawo już było i jechaliśmy gościńcem za Komendantem Piłsudkim w kilka koni, a była to luka kilkukilometrowa między kolumnami. W tem na lewo od drogi pokazało się kilku jeźdźców szybko ku nam jadących. Była nieprzyjemna chwila niepewności, więc wysunęliśmy się z Dobranickiem z browningami w rękach ku nim. Bardzo nam się miło zrobiło, gdyśmy po zbliżeniu się poznali Belinę.

Szczucin, 15 września 1914.

Przeszliśmy Wisłę po drewnianym moście. Omal mi się przedtem Hanka nie utopiła w bagnie przybrzeżnem. Ledwie się razem z nią dostałem. Chora jest jednak jakaś i trzęsie się ciągle.

W Szczucinie dostajemy broń i ekwipunek. Dowiedzieliśmy się, że jesteśmy 1-ym pułkiem I-ego Legjonu! Tak nas dostało. Ale gdy Komendant się na to zgodził, to już i nie ma co gadać.

BOGUSŁAW SZUL-SKJÖLDKRONA

DUMA BRYGADY KARPACKIEJ

*Przez trudy i znoje, przez walk krwawych burze,
Z pogardą dla śmierci, wesoła, junacka,
Wciąż idzie niezłomna, w krwi własnej purpurze,
Brygada żelazna karpacka.*

*Nie zegnij jej, póki podźwignij dłoń znamię,
Ni podłość moskiewska, ni buta krzyżacka!
W bój ruszy zacięty i wroga przełamie
Brygada żelazna karpacka.*

*Tak, chociaż do Polski ciałami szlak ściełem,
Choć nieraz pięść wroga śmiertelny cios zada,
Znów stanie potężnym krzywd naszych mścicielem
Żelazna karpacka brygada.*

*I póty bojowych nie zwinię proporców,
I póty spokoju, ni chwili nie zazna,
Aż wygna z Ojczyzny ostatnich zaborców
Brygada karpacka żelazna.*

Archangielsk, grudzień 1918.

J. MISIEWICZ (Roch).

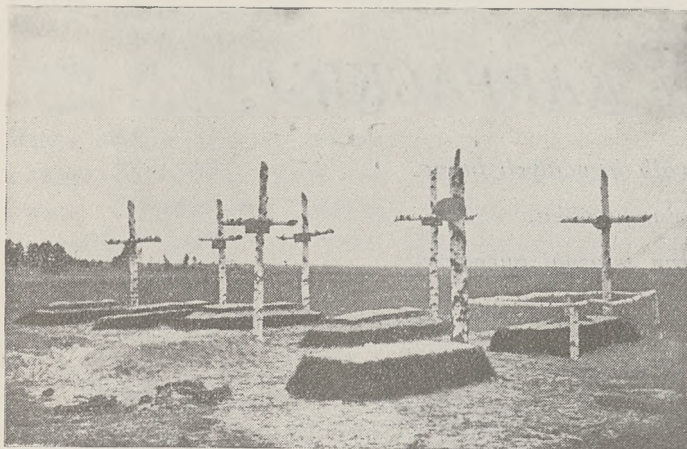
MÓJ PIERWSZY KOŃ.

Kto pamięta dzieje tworzenia się kawalerji legjonowej, ten z łatwością przypomni sobie szczególną dorywczość, mającą częstokroć cechy natchnionej improwizacji, z jaką organizowany był ten rodzaj broni. Cudowny, niezawsze nadający się do ujawnienia, sposób zdobywania koni, przemyślnie starania niemal o każdą sprzączkę końskiego sprzętu, ciche, nie szukające czczego rozgłosu „wymienianie” długich karabinów na krótkie kawaleryjskie, przy sposobności mijania się z odpowiednio zasobnemi w ten rodzaj broni taborami austriackimi — czyż to nie improwizacja? A cóż dopiero powiedzieć o przekształcaniu surowych ludzi w kawalerzystów, przekuwaniu ich na obraz i podobieństwo ułanów w ogniu ciągłych marszów, zmieniających się z dnia na dzień noclegów, dłuższych przebywań w okopach, dorywczych utarczek. To już cała poezja improwizacji w porównaniu z improwizacją prozy, jaką mimo wszystko było zdobywanie koni, sprzętu kawaleryjskiego i uzbrojenia.

Taka poezja improwizacji stała się i moim udziałem, gdy po półrocznym pobycie w piechocie zdecydowałem się przenieść do 1 pułku ułanów Beliny.

Nie powiem, żebym nosząc się z zamiarem przeniesienia, nie zastanawiał się nad swą umiejętnością konnej jazdy. Owszem, myślałem o tem, przywołując w tym celu na pamięć wszystkie odpowiednie po temu wspomnienie ze swej przeszłości. Jakieś wspomnienie o jazdach, odbywanych na wynajmowanych w ogrodzie publicznych kucykach, jakieś wspomnienie o dosiadanu źrebców, wyblaganych u pastuchów — wydały mi się aż nadto wystarczające. Gorzko miałem pożałować tej lekkomyślności, na własnej skórze miałem się przekonać, jak przeceniamy zazwyczaj wartość swoich wspomnień. Nie uprzedzajmy jednak wypadków.

Oczekiwane zezwolenie na przeniesienie się do kawalerji doszło mnie w Limanowej. Przytem w momencie tak niefortunnym, że ledwie zebrałem swe manatki, gdy Rosjanie zaczęli ostrzeliwać miasto. A ponieważ kawalerja stała za miastem, przeto przemakając się pod murami i płotami, pobiłem w tamtym kierunku. Jakoż dopadłem szwad-



Śpią Koledzy...

MARJAN DUBIECKI

ŚMIERĆ TRAUGUTTA.

....Na pięciu wózkach wieziono pięć ofiar, pięciu bohaterów obowiązku, których tracenie miało być dla Rosji najwyższym triumfem. Obok każdego z nich siedział spowiednik. Świeciła więc Rosja ten triumf uroczyście i świetnie, niby dzień radości i chluby swej narodowej. Z całą okazałością wojskową wystąpiła ona na plac egzekucji,

ronu, stojącego z kilometr za miastem, na jakiejś polanie.

Po przebiegnięciu miasta i ładnego kawałka drogi za miastem, cały czas pod ogniem działowym, byłem dobrze zadyszany. Nie sądzony byłem jednak odpoczynek, gdyż szwadron był na wsiadanie. Wypadło mi więc wsiąść na konia, którego mi z koleżeńską usługą podał ówczesny patrolowy, Wieniawa-Długoszewski.

Ja wiem, że dając mi tego zwierzaka, miał patrolowy intencje jak najczystsze. Ja wiem, że czynił to z dobrego serca. Ja wiem, że za konia na którego przychodziło się nieraz czekać tygodniami, wobec braku koni odczuwanego przez legjonową kawalerję — powinienem mu być wdzięczny do śmierci. Ja to wszystko wiem. Niechaj jednak Bóg mu tego nie pamięta.

Było to bowiem zwierzę nieugięte w pysku, uparte aż do tępoty, o jakiejś niesłychanie rozwiniętej indywidualności, narzucającej jeźdźcowi swą wolę w sposób poprostu przygniatający. Dobrze jeszcze, że miała ta obmierzła szkapę na tyle poczucia przyzwoitości, że trzymała się jadącego szwadronu, nie wychylając się poza jego szyk ani

na stokach cytadeli, dla nadania większej grozy ostatniej scenie krwawego dramatu.

O tej drodze z cytadeli na ów polski mogiłek, jakim był w Warszawie stok cytadeli, spowiednik Rafała Krajewskiego, O. Feliks Sadowski, kapucyn, taką zostawił relację: „...Siedział prosto (R. Krajewski), trzymając krzyż w ręku, a gdy zobaczył tłumy i usłyszał płacz ludu, bardzo go to ucieszyło, bo sądził, że ostatni kierownicy nieszczonego powstania, umierając, nie znajdują już uznania i współczucia w narodzie. Podniósł tedy krzyż w górę i błogosławił nim i zegnał lud płaczący... Kiedyśmy przybyli na miejsce otoczone wojskiem, łamującym zbliżenie się tłumom, ustawiono nas w półkole.... Oberpolicmajster zapytał: „Kto tu jest Traugutt?” Na to Traugutt wystąpił śmiało, nawet z pośpiechem, mówiąc: „Ja nim jestem”. Przeczytano mu wyrok, przyjął go zimno... Krajewski i Traugutt, stojąc obok siebie, porozumiewali się wzrokiem, poczem, podawszy sobie ręce, uściśniły się... Po przeczytaniu następnych wyroków, wprowadzono ich na stopnie (szubienicy), przyodzianych w białe opony”....

Tysiące bagnetów strzegło szafotu i tłum dygnitarzy i generałów rosyjskich w galowych mundurach wskazywał, jak wielką wagę wróg przywiązuje do owej chwili. Pogląd wroga był prawdziwy: spadała wówczas, zaiste, zasłona nad ziemią, zbroczoną krwią, zlaną morzem łez — dramat

o włos. Gdyby nie to — Bóg raczy wiedzieć dokądby mnie to konisko zawiozło.

I chociaż było mi to pewną osłoda, tem niemniej pozycja moja na tym koniu była okropna, można nawet powiedzieć bardzo chwiejna. No dobrze — myślałem sobie, rozpaczliwie podrygując — jeszcze jesteś na koniu. A co będzie, jeśli musie zechce znaleźć na mnie? I powieśmy, że wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu uda mi się dosiąść go ponownie. Co uczynię, jeśli przyjdzie koniowi wtórny kaprys odwrócenia wzajemnego ustosunkowania pozycji między nim a jeźdźcem? I na Boga, do ilu razy będę w stanie wytrzymać to męczące odwracanie pozycji, właściwej szanującemu się jeźdźcowi?

Te rozpaczliwe rozmyślenia, mające na celu utwierdzenie się w postanowieniu utrzymania się na koniu za wszelką cenę, widocznie nie przeniknęły do świadomości mych towarzyszków. Zamiast bowiem współczucia, widok mój na koniu zdawał się wywoływać wesołość. Tak przynajmniej mogłem sądzić ze śpiewki, zanucanej przez któregoś z kolegów, jadących za mną: „Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą — a ja do-li-ną...”. Byłem na niego za tę śpiewkę wściekły, musiałem

powstania był skończony... Pochód wiezionych na stracenie rozpoczynał Traugutt, zamykał Jeziorański: ustawiał ich wróg wedle stopnia winy...

Poza szeregami wojska i policji zalegały tysiące mieszkańców stolicy obszerne przestrzenie przed twierdzą.... Wprowadzono na rusztowanie i tracono w takim porządku, jak wieziono: pierwszym stracono Traugutta, ostatnim Jeziorańskiego. Pierwszy z nich ostatniego pierwszy raz w życiu ujrzał pod słupem szubienicy, chociaż, wedle brzmienia wyroku, rzekomo pracowali oni wspólnie. Dekret odczytywano długo, z pewną ostentacją, a skazani zmuszeni byli wysłuchać go pod szubienicą, która za chwilę stać się miała ofiarnym stołem całopalnej ofiary obowiązku....

Dekret, a raczej komunikat rządowy, ogłoszony w dziennikach w przededniu traceniał, w którym fałsz rozmyślny walczył o lepsze z fantazją wroga, polecono przedrukować we wszystkich gubernjalnych gazetach całego państwa, od Kalisza do Kamczatki. Miał to być hymn triumfu nieprzyjaciół i tej zemsty, która przyświecać odtąd zaczęła Rosjanom i przyświecała wciąż całe dziesiątki lat....

Traugutt, podczas czytania wyroku, i później do chwili, gdy z kolei i on wstąpił na ów stos ofiarny, odmawiał modlitwy ze swym spowiednikiem, nie zwracając uwagi na to, co się wkoło

niego dzieje... złożył wreszcie ręce jak do modlitwy — i w tej pozycji widziano, iż biała postać ta zawisała obok czterech innych.

Wielki jęk z piersi wielu tysięcy ludu wówczas rozległ się, głusząc huk bębnow i dźwięk muzyki wojskowej. Wrażenie owej chwili wstrząsało nawet umysły i serca niejednego wśród wrogów, zostawili oni tego rodzaju świadectwa, bardzo wiarogodne, z obcego bowiem obozu pochodzące.

Około dziesiątej godziny Traugutt skonał.... Ciała straconych dwie godziny wisiały, zanim je zabrano i pogrzebano w miejscu nieznanem, w fosach twierdzy, posypując je wapnem, gwoli przedszemu rozkładowi.

Boleśnie odczuła Warszawa ten dzień traceniał, acz oswojoną już była z drzewem szubienic, z salwą rozstrzelań. Spotykano w dniu tym, w stolicy, przykłady nagłej śmierci z nadmiaru bólesci.... Wśród innych, wiemy, iż nagle skończyła niewiasta umysłu i serca podniosłego, znana z prac literackich i obywatelskich, Emilja Gosslin. Skoro jej przyniesiono wiadomość, iż się zbliży dzień, który ma się stać epilogiem walki i wysiłków olbrzymich, padła rażona żalem bezbrzeżnym.... Struny życia innych rwały się, pękały, acz nie tak nagle, i rdza smutku strawiła przedwcześnie niejedno istnienie.

mu jednak przyznać w duchu rację. Wszystko bowiem przemawiało za tem, że memu koniowi jest pisana góra, a mnie samemu dolina.

A jednak nie spadłem. Dlaczego? Nie wiem. Gdy przyjechawszy na nocleg, rozstałem się z koniem, zsiadłszy zeń z własnej nieprzymuszonej woli, nie mogłem tego zrozumieć. Widocznie tak zechciał nieodgadniony w swej łaskawości Bóg, wspomagany przez nego towarzysza tej szaleńczej jazdy, Krogulca, który (pamiętam to jak przez mgłę) w najkrytyczniejszych momentach chwycił, mnie za łokieć, nogę, opadającą ku ziemi głowę, czy jaką inną, najodpowiedniejszą w danym momencie część ciała. Dość, że nie spadłem.

Kiedy jednak po zejściu z koni, zwrócono mi uwagę, że powinienem rozsiodłać konia, napoić go, nakarmić i wogóle otoczyć serdeczną opieką tego zwierzęcia, wówczas po raz pierwszy okazałem, że mam tego dość.

— Nawet na oczy widzieć go nie chcę — odrzekłem z przyciskiem — a cóż dopiero dotykać!

I musiała emanować ze mnie jakaś straszna determinacja, bo chociaż wypowiedziałem to spokojnie, nie nagabywano mnie więcej w tej sprawie. Poczciwy Krogulec zajął się i swoim koniem,

i tym moim, dając mi możność ułożenia zbolałego ciała na jakiejś słomianej podściółce.

Musiał mi się jednak to moje konisko dobrze wrazić w pamięć, skoro mi się przez całą noc śniło. I to w sposób o tyle śmieszny, że w postaci jakiegoś legendarnego, ogniem ziejącego przez nozdrza rumaka, którego ja (o ironjo!) lekko dosiadałem raz poraz, jak tylko mi się zachciało. Był to obraz na tyle niedorzeczny, że chociaż to we śnie, myślałem sobie przez sen: Ani on nie jest taki ognisty, ani ty go dosiadać nie będziesz, jeśli on tego nie zechce.

Równy z przebudzeniem tknęła mnie myśl, że oto rozpoczyna się nowy dzień jazdy. Osiodłałem więc bestję, starając się nie myśleć, co z tego wyniknie. I byłbym niebacznie wsiadł, zbyt ufany swej umiejętności siodłania, gdyby nie poczciwy Krogulec, który stwierdził, że popręg, którego zadaniem jest ściśnięcie końskiego brzucha, na tyle, aby siodło mocno utrzymywało się na grzbiecie, zwiesza się luźno pod brzuchem. Okropnie mnie to zadziwiło, bo przecież doskonale pamiętałem, że nacisnął popręg z całej mocy. Skąd biedny, mogłem wiedzieć, że wśród koni jest dość rozpowszechniony figielek, polegający na tem, że

STANISŁAW SEIDL

(1 dwójka 1 plutonu 3 szwadron
2 p. ułanów Leg. Pol.).

SZARŻA, KTÓRA NIE DOSZŁA DO SKUTKU

Po długotrwałym transporcie wywagonowano nas w Hust, skąd szwadron nasz konno, choć nie zbrojno, maszerował do Nagyszölles, gdzie mieliśmy otrzymać uzbrojenie. Humory były doskonałe, koncepty, przeplatane salwami śmiechu, padały co chwila — wtem rozkaz komendanta szwadronu por. Klastersky'ego osadził nas na miejscu, aby następnie przy użyciu odpowiednich, wyćwiczonych na błoniach krakowskich zwrotów, uszykować nas w ordynku wzdłuż gościńca na błoniu, frontem ku północy. Humor ustąpił miejsca ogólnej konsternacji, kiedy zwróciło naszą uwagę trzech jeźdźców, widniejących na sąsiedniej górze, których czujny (i chudy) jak żóraw... nasz komendant zauważył pierwszy.

Krótką naradą oficerów i szarż z djagnozą — szpica kozacka. Po dobrej chwili wyjeżdża przed front por. Klastersky z mocno zdeterminowaną miną i rypie nam koszarowym austriackim żargonem płomienistą mowę „bardzo moszlife, sze przyjcie to ataku, tfa pierfsze plutony na mój roz-

kas pójdą do ataku, tfa trugie pendą stać f rezerfie—Kto ma szaplę—szaplą, kto ma karapin—karapinem, kto nema szapli, niech pochfę feźmie od koleki, kto nema nic—buta s nogi i fszysey jak tjabli za mną"! stanął przy tych słowach tuż koło mnie, a mnie cholera bierze, ty, pepiku, nas uczyć odwagi—ręka jak piorun za cholewę—wyjmuję widelec—nastawiam jak szablę do ataku (pierwszy ząb widelca na lewe oko) i ryczę na całe gardło „rozkaż panie rotmistrzu“. Jak moja paka nie ryknie—sam Klastersky zaśmiał się oczami (jako że był bardzo dystyngowny) i nastrój zapanował taki, że tylko wzgląd na ewentualne czytelniczki nie pozwala mi dokładnie określić, gdzie mieliśmy całą szpicę razem ze sotnią.

Kozakom (jeśli to nie był przypadkiem nasz Olgierd Górka, wódz kawalerji sztabowej, szukający terenów przyszłych potyczek) też się widocznie mój widelec nie podobał, bo dali nura, a my do Nagyszölles na şör bör palinka kukurudz.

podeczas zapinania popręgu koń się podstępnie nadyka, aby, w chwilę później wyzwolić się od uciśku popręga jednym prostym odsapnięciem.

I znów dopomógł poczciwy Krogulec. Zanim to się jednak stało, szwadron odjechał ładny kawalek drogi.

Wówczas to poznałem, że wczorajsza jazda truchcikiem w szwadronie, to niewinna igraszka w porównaniu z pośpiesznym doganianiem. Zbudziłem się rano z febrą — wytrzęsło ją ze mnie do cna. Zaciskałem zęby aż do bólu — a pomimo to szczekanie zębami nadłamało mi środkowy siekacz. Przytroczyłem do siodła, jak tylko mogłem najmocniej koc, chlebak, manierkę — poopadało to wszystko ze mnie niczem sznury koralu z tańczącej zawrotnie trzęsiony taniec, odaliski.

Gdy bowiem doгнаłem szwadron i dzięki przyrodzonemu instynktowi swego konia zająłem w nim swoje miejsce, usłyszałem nagle wołanie z tyłu:

— Rochu! Gubisz koci!

— Niech go ch-o-le-e-ra! — wyskandowałem w takt trzęsienia, ani myśląc ryzykować zsiadania skoro jeszcze tak niedawno, przy pomocy Krogulca i jakiegoś poczciwego kamienia, udało mi się tak gładko wsiąść na niego.

— Rochu! Toż ty gubisz teraz chlebak!

— A niech go pio-o-ru-u-ny!

— Rochu! Poszła i manierka!

— Pal ją dja-a-a-bli!

— Rochu! Wyprysła ci i łyżka z za cholewy!

— Rany Boskie! Poczekajcie!

Myślicie, że szwadron poczekał? Gdzie tam. I łyżka, podstawowe narzędzie do jedzenia, ta łyżka — przepadła...

Jakże żałowałem wówczas piechoty¹⁾, z której się tak lekkomyślnie przeniosłem, jakże żałowałem tego zmaltretowanego przez jazdę siedzenia, z którego wychodzą nogi, te poczciwe nogi, które mnie w piechocie tak spokojnie, tak pewnie nosiły po ziemi.

W tem nagle, z pobliskiej wioski — strzały. Jeden strzał, drugi, trzeci, kilkanaście. I błyskawiczna komenda — „Z koni! „Do ognia!“

I zbawcze olśnienie:

— Do ognia.... niech będzie do największego ognia, choćby pod grad kul, choćby pod ogień huraganowy, a choćby i w ogień piekielny! Byleby z konia! Byle z tego bydlaka konia....

¹⁾ A widzisz, bykul — własnoręczny przypisek autora „Kaprala Szczapy“.

† GUSTAW DANIŁOWSKI

KIELCE

Po wyruszeniu z Krakowa komenda austriacka wyznaczyła jako ostatni etap Jędrzejów, ale Komendant postanowił posunąć się dalej i zająć Kielce. Około południa w sile około 400 ludzi licho uzbrojonych, w towarzystwie jedenastu koni jazdy Beliny, wkroczyli do miasta. Po obu stronach ulicy stała ciżba ludu niemal jak mur, ani jednego okrzyku, ani jednej oznaki życzliwości dla tego żołnierza, nad którym roztkliwiano się, dopóki był martwą malowanką.

To pierwsze wrażenie było dość przykre, ale entuzjazm, z którym weszliśmy w granice Królestwa, nie dał się niczem zwaryć.

Zresztą zaraz znalazły się rozmaite zajęcia. Udałem się z Sieroszewskim do więzienia, gdzie skonfiskowaliśmy siedem nowiutkich karabinów, uwolniliśmy trzech „politycznych”, kazaliśmy pozdejmować kajdany i wogóle zapowiedzieć więźniom rozmaite ulgi, za co posłyszeliśmy okrzyk: „niech żyją polscy żołnierze”!

Później rozmawiałem z redaktorami, którym zapowiedziałem, że mogą o nas wcale nie pisać, ale póki tu stoimy, napadać na nas nie wolno. I właśnie, gdy skończyłem tę konferencję, zauważyłem dopiero, że w pałacu namiestnikowskim, który zajęliśmy na główną kwaterę, panuje dziwna cisza i pustka. Okazało się, że w całym gmachu jestem sam z jedną wywiadowczynią.

Nagle na mieście rozległy się strzały, kilku kozaków wpadło na dziedziniec pałacu, zawróciło i pognało ku miastu.

Korzystając z tego, że miałem na sobie sportowe ubranie, włożyłem czapkę strzelecką do kominka i, wzięwszy niewiastę pod rękę, udałem zwykłych spacerowiczów.

Udaliśmy się w kierunku stacji; okazało się, że do Kielc wpadł samochód z oficerami, którzy założyli się, że pomimo pobytu „band” w Kielcach, zjedzą tam śniadanie. Przywitani salwą na dworcu, z towarzyszącym im orszakiem kozaków zawrócili i gdy mijali hotel Polski, zostali ciężko ranni strzałami znajdujących się tam ułanów.

Komendanta nie było, został bowiem wezwany przez władze austriackie do Jędrzejowa. Komendę objął Sosnkowski. Zostawił mały oddział na stacji, resztę o zmierzchu wyprowadził na pobliski wzgórek, Czarnówek, składający się z kilku chat z lasem ztyłu. Tu spędziliśmy dość chłodną noc, oczekując co rano przyniesie.

— Słuchaj—spytałem Sosnkowskiego—czy my wrócimy do Kielc?

— W każdym razie nie teraz; mamy przed

sobą brygadę straży pogranicznej i brygadę jazdy Nowikowa.

— Ależ ja mam czapkę w pałacu.

— Jeśli jesteś taki „chojrak”, to idź po nią i dowiedz się, co się dzieje w mieście.

Poszedłem. W mieście nie zastałem nikogo.

Tymczasem przybył niespodziewany sukces w postaci oddziału 40 świetnie wyekwipowanych sokołów, którzy zbuntowali się przeciwko swej władzy, zabraniającej popierać akcję Piłsudskiego.

Wróg zachowywał się spokojnie, jak się okazało, oczekiwał armat. Wkrótce ujrzelśmy na wzgórzu ustawiane, widoczne gołym okiem, działa. Mięgął błysk jasny i padł granat wpobliżu. Sosnkowski kazał się cofać. Artylerja strzelała za wysoko i w las, podczas gdyśmy schodzili zboczem do wsi Białogona.



Szarże 2 plutonu kompanii kadrowej z W. Sieroszewskim. Pierwszy patrol strzelecki w Kielcach. Wieniawa - Długoszowski na rynku kieleckim.

Dlaczego Moskale nas nie otoczyli i nie wyrznęli — mogę to sobie tylko wytłomaczyć zdecydowaną naszą postawą, która mogła wywoływać wrażenie, że jesteśmy tylko awangardą jakichś większych sił.

Od Dreszera, który przeszedł do nas, dowiedzieliśmy się, że artylerją kierował Polak Arciszewski, a Nowikow obiecał za wszelką cenę zająć Jędrzejów i zrównać go z ziemią.

Komendant odparł go nad Nidę i wkrótce znaleźliśmy się znowu w Kielcach, rozłazarasowując się w pałacu, który trzymaliśmy w rękach stale, a komendy austriackie i niemieckie musiały się gnieździć w ciasnych hotelach.

W Kielcach zatrzymaliśmy się parę tygodni dla zorganizowania oddziału. Ćwiczono rekrutów, założono warsztaty szewskie i krawieckie. Belina doprowadził swą jazdę do dwóch szwadronów.

Miejscowe społeczeństwo poczęło się zwolna rozkrochmalać, zorganizowała się mianowicie Liga Kobiet dla niesienia pomocy strzelcom, trochę młodzieży z miasta i ze wsi wstąpiło w szeregi i cała orkiestra straży ogniowej, która przygrywała wieczorem w parku.

Po zacisznych kącikach tworzyły się parki, największem powodzeniem cieszyli się sierżanci, bo oficer się żenował, żołnierz nie śmiał, a sierżant ufny w swój zielony sznurek nieraz prowadził dwie dziewoje. Okres kielecki nazywamy naszym miodowym miesiącem, nie znaliśmy jeszcze grozy wojny i tej strasznej obojętności społeczeństwa, która znalazła wyraz w strofach pieśni Pierwszej Brygady.

„Walczyliśmy osamotnieni, a z nami był nasz drogi Wódz”.

I był On z nami wszędzie, w bitwach, gdzie nieraz szedł w awangardzie, gdy się szło naprzód, i w arjergardzie, gdy wypadało się cofać, w okopach i ziemiankach, w złej i dobrej doli, a gdy legjony internowano, podzielił z nimi dolę w twierdzy Magdeburga. Potem okrył wiekopomną sławą swoich żołnierzy, więc coś dziwnego, że wojsko go ubóstwia, a większość narodu uwielbia, jako swego bohatera.

Kielce, piękne Kielce, pozostaną w historii jako miasto, gdzieśmy otrzymali pierwszy chrzest bojowy i gdzie po wielu, wielu latach przerwy, zagrzmiały pierwsze strzały polskiego żołnierza.

ADAM KOWALSKI

LUTNIA W TORNISTRZE

*Marszałkowskiej buławy nie noszę w plecaku,
Bo nie myślę na starość generałem zostać,
Chciałbym tylko do śmierci śpiewać na biwaku,
A w marszu zawsze godnie swym siłwesom sprostać.*

*I dlatego w tornistrze swoim dźwigam lutnię,
Instrument nader dźwięczny, choć niezbyt polowy,
Bym ci bracie, żołnierzu, gdyś zmęczon okrutnie,
Zagrał na niej i myśli złe wypłoszył z głowy.*

*Bym ci na niej wyśpiewał, niewymyślnie wielce,
Radości i niedole tej naszej żołnierki,
Aby słowo krzepiące, kropla po kropelce,
Wlewało ci się w serce, jak rum do manierki.*

*A kiedy nas już zbrata lutnia ta złocista,
Gdy książczynę tę weźmiesz w swe kochane łapy,
Wtedy z wielkiej radości urznie się lutniśta:
Kapral pierwszej brygady, brat rodzony Szczapy.*

„NASZ INTENDENT STARY...”

Generał Litwinowicz, obecny dowódca okręgu korpusu w Grodnie, pierwszy intendent Legionów, który razem z kompanją kadrową wszedł dnia 6 sierpnia 1914 r. w granice Królestwa Kongresowego, jako opiekun jej potrzeb materialnych, tak wspomina pierwsze chwile polskiej intendencji wojskowej.

Dnia 5 sierpnia o godzinie 10 wieczorem zostałem wezwany do Komendanta, otrzymałem rozkaz oddania moich czynności następcy i przygotowania się do odmarszu z pierwszą kadrową.

Otrzymałem rozkaz zorganizowania wyżywienia dla kompanji i następnych oddziałów, które przekroczą granicę.

Równocześnie otrzymałem asygnatę na pieniądze. Cyframi i słowami wypisana na niej była kwota: sto koron.

Kwota wydała mi się za małą, w kieszeni miałem własnych 70 koron, dołączyłem je do pieniądy skarbowych.

O czwartej rano 6 sierpnia wyruszyłem z kompanją kadrową. W kasie pierwszego regularnego oddziału polskiego wojska, było 170 koron. Nie wiem, czy historia notuje podobny wypadek.

Do wyżywienia miałem narazie 163 ludzi i 7 koni. W sierpniu roku 1920, w sześć lat później, w okresie najcięższych walk w obronie odzyskanej już niepodległości, żywiłem 1.400.000 ludzi i około 170.000 koni, ubierałem zaś około 1.100.000 ludzi.

Takiej kariery intendenta historia nie notuje.

Po wymarszu z Krakowa przy pierwszym spoczynku zaimprovizowałem śniadanie, składające się z bułek i mleka, o ile sobie przypominam po przekroczeniu granicy. Coś w rodzaju higienicznego obiadu w jarskiej kuchni. Z posiłku wi docznie wszyscy byli zadowoleni, bo już po południu tego dnia usłyszałem zwrotki piosenki kadowej:

„A obok kolumny nasz intendent kroczy,
Každyby myślał, że się beczka toczy,
Gęba, jak księżyc, wściekle okulary,
Niech nam żyje długo, nasz intendent stary”.

GEN. T. KASPRZYCKI

PIERWSZA BRYGADA POD ŁOWCZÓWKIEM

(22 – 25.XII – 1914) ¹⁾

Po trzytygodniowym okresie walk ruchowych na Podhalu, w okolicy Limanowej, brygada Komendanta Piłsudskiego zostaje wycofana z frontu i przeprowadza w Nowym Sączu swą reorganizację wewnętrzną.

Zasłużony i zdawało się dłuższy odpoczynek został przerwany po paru dniach rozkazem odejścia na front pod Tarnów. W dwa dni potem rozpoczyna pierwsza brygada jeden ze swych głównych bojów, czterodniową bitwę pod Łowczówkiem.

Prowadzona z wielokrotną przewagą wyborowych pułków rosyjskich, w ciężkim podgórskim terenie, w dokuczliwych warunkach grudniowej aury, w atmosferze nerwowej szarpaniny, spowodowanej dezorganizacją i chaosem wśród dowództw i oddziałów tego odcinka — bitwa pod Łowczówkiem jest pięknym przykładem cnót żołnierza polskiego. Twarda wola wytrwania, upór i poświęcenie w obronie, stalowe nerwy i błyskawiczna decyzja dowódców, rozsądna inicjatywa nawet małych oddziałów, pamięć o sąsiadach — ambicja bojowa i wysokie poczucie żołnierskiego honoru — wielokrotnie ujawnia się w szeregu świetnych czynów, w ciągu czterech dni krwawych zmagających.

Podaję z dziennika polowego kartki, obejmujące te zdarzenia.

W odróżnieniu od innych rozdziałów „Dziennika” — rozdział o Łowczówku nie jest spisany „na gorąco” — opracowany został później i oparty o relacje uczestników boju.

20.12 — Alarm w N. Sączu.

Z dniem każdym pobytu wrastamy coraz silniej w to miasto. Otacza nas zewsząd serdeczna i tkliwa opieka.

Jak wszędzie na dłuższych postojach, garnie się młodzież, „przystają” do brygady ochotnicy. W każdym domu musi być swój legionista — zapowiadają się święta niemal w nastroju rodziny, plany wspaniałych zabaw i przyjęć.

W atmosferze sympatii, uznania — odpoczynek nie tylko fizyczny — odprężenie całkowite psychiczne.

Piękny, słoneczny dzień, nastrój daleki od wojny.

Wtem — trąbki grają alarm na mieście.

O 1 po południu do sztabu brygady telegram z 4 armji.

„Legjon ma natychmiast maszerować do Zakliczyna i zameldować się do 43 dywizji”.

Idą niezwłoczne rozkazy: wymarsz, zbiórka na rynku, 3 po południu. Porcje żelazne, amunicja.

Koło 4-ej — wyciąga kolumna bataljonów pod dowództwem szefa sztabu ppłk. Sosnkowskiego, który zastępuje będącego w drodze Komendanta Głównego.

Miasto wylega rozżalone, okrzyki, kwiaty, wzruszające pożegnania.



Kapitan T. Kasprzycki (Zbigniew).

Maszeruje brygada doliną Dunajca na północ, „idzie pomagać” — pod Tarnowem w ciężkich bojach 4 armji. Grozi „durchbruch”.

Na noc kwatery: Starawieś — V bataljon, Tęgoroz — 1 pułk, Zbyszyce — komenda i reszta brygady.

21.12. Zbyszyce — Zakliczyn.

Rano marsz dalszy. Odpoczynek na kwaterach w Olszowej i Paleśnicy.

W czasie marszu nadjeżdża oficer sztabu 43 dywizji obrony krajowej: dywizjoner bardzo zadowolony, że już nadchodzimy. Nie spodziewali się nas tak prędko, najwidoczniej depeche nie przychodziły. Nasz szef wyjeżdża do dywizji na rozmowę.

W 43 dywizji szefem sztabu jest hr. Tyszkiewicz. Wyjaśnia, że idą bardzo ostre walki, szczególnie na prawem skrzydle 4 armji, na południe od Tarnowa. Moskale od dwóch dni usiłują przełamać front Pleśnia — Łowczówek. Nas pewno tam użyją. Nie sądzili, że jesteśmy tak liczni (ok. 1600 bagnetów, 2 szwadrony, górska baterja). Trudności w zaprowiantowaniu. Brak nam przymem

¹⁾ Wyjątki z będącej w druku pracy. Kartki z dziennika oficera sztabu I Brygady.

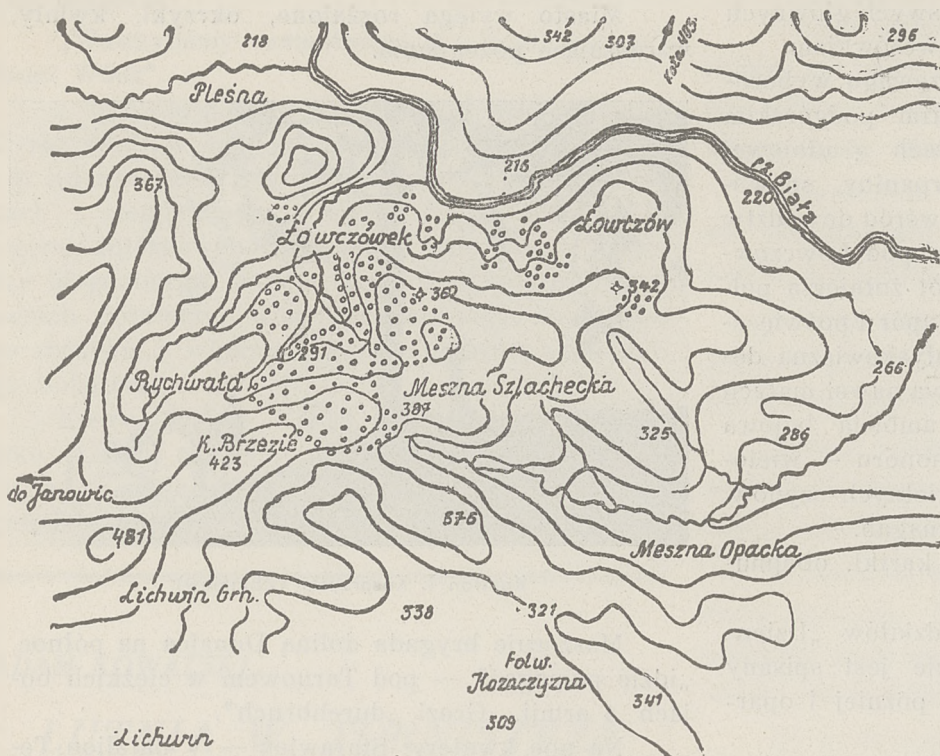
kuchni polowych (Ulina Mała) i taborów, wozy ma przyprowadzić dopiero wraz bataljonem uzupełniającym kpt. Berbecki.

Nocleg — Zakliczyn i okolica.

Koło 11 wieczór—powraca szef sztabu. Odprawa dowódców w nocy. Pierwszy otrzymany rozkaz przydziela nas do grupy brygadiera Pattaya. Potem przychodzi zmiana — iść mamy na kotę 402 koło Lubinki, jako odwód XIV korpusu.

22.12. Atak na wzgórza pod Łowczówkiem.

Wymarsz o godz. 5.30 na Janowice. Przyłącza się do nas reszta artylerji „G. B/3” z por. Meissnerem.



Szkic konfiguracji terenu bitwy pod Łowczówkiem
(1:5000; szereg szczegółów — osiedla, drogi — pominięto).

Po drodze na pozycje melduje się ppłk. Sosnkowski w 43 dywizji. Tu zmiana dyspozycji na pierwotną. Mamy iść dalej i w karczmie Brzezie zameldować się u Brygadiera v. Pattaya. Na jego odcinku lada chwila — „durchbruch”, a wtedy skrzydło i tyły z trudem walczącej dalej na północ 43 dywizji zagrożone, zerwana łączność między 3 i 4 armją.

Oddział nasz idzie laskami, skrycie: wzgórza i droga przy Janowicach ostrzeliwana. Coraz wyraźniej odczuwa się atmosferę klęski, po drodze grupy rozbitków z 30 p. p., 18 p. obrony krajowej i z 11 p. huzarów, z pod Lichwina gorączkowy ogień baterji austriackich — powstrzymują ruch naprzód Moskali.

Nie dochodząc do karczmy Brzezie, bataljony zatrzymano w ukryciu. Przed godz. 12 idzie szef

z komendantami oddziałów do karczmy, silnie ostrzeliwanej przez artylerję rosyjską. W tej chwili meldują, że 18 p. obrony krajowej (płk. Bezdiczka) cofa się rozbity. Brygadjer Pattay nieco zmieszany objaśnia krótko położenie, wskazuje nerwowo kierunek uderzenia dla naszej brygady i z karczmy się wynosi.

Zadaniem naszym jest ratować sytuację grupy Pattaya, szczególnie jego prawego skrzydła, zaatakować Rosjan i odebrać utracone przez płk. Bezdiczkę koty 360 i 342 (Łowczówek—Łowczów).

Resztki wojsk płk. Bezdiczki (dwie komp. 18 p. obrony krajowej pod dowództwem majora Jarosza¹⁾ trzymają się na skraju lasu w rejonie Meszny Szlacheckiej, w pobliżu drogi z Meszny Opackiej, od zachodu osłania je 4 szw. (11 p. huzarów).

Nieprzyjaciel osłabiony natarciem, silnie ostrzeliwany przez artylerję austriacką, nie posuwa się naprzód. Według objaśnień Austriaków zajmuje zdobyte pozycje i okopuje się na południowym skraju lasu, na kocie 360, na wzgórzu na płd. od tej koty. Sytuacja na kocie 342 nieznana.

Szef sztabu ppłk. Sosnkowski decyduje się działać szybko, żeby nie dać czasu nieprzyjacielowi na zorganizowanie zajętych pozycji i natychmiast daje rozkazy:

1) natarcie na kotę 360 — przeprowadzi mjr. Śmigły dwoma bataljonami 1 pułku.

2) na kotę 342, oskrzydłując ją od płd.-wschodu, uderzy bataljon V pod kpt. Rylskim.

3) Artylerja przy wylocie drogi kilkaset kroków od grupy domów Meszny Szlacheckiej.

4) Reszta brygady (bataljony: II — por. Olshyny (Wilczyńskiego), IV — por. Grudzińskiego (Pększyca) i VI — por. Ludwika (Piskora) stanowią odwód brygady pod dow. kpt. Satyra (Fleszara).

Po wydaniu rozkazów maszeruje ppłk. Sosnkowski z bataljonami 1 p. p., które idą do natarcia. Przy nim baterja górska, jedyna artylerja do dyspozycji. Baterje, które zastaliśmy na odcinku, nie nawiązały łączności i natarcie wobec pośpiechu, nadchodzi noc, musiało mimo to ruszyć.

Natarcie rozpoczęło się po godz. 2 po poł.

Dowódca 1 p. p., major Śmigły, doszedłszy

¹⁾ W przyszłości generał wojsk Polskich.



Odpoczynek.

skrycie lasem do Meszny Szlacheckiej, gdzie otrzymał od płk. Bezdiczki ogólne wiadomości, które niewiele wyjaśniły zagmatwaną sytuację, postanowił uderzyć bez zwłoki siłą niepełnych dwóch batalionów, zatrzymując cały batalion w rezerwie, ze względu na niepewną sytuację na lewym flanku natarcia.

Do natarcia poszły: nasi wprost 1 komp. II batalionu 1 p. p. pod dowództwem ppor. Kruka Czarnego (Kruszewskiego) oraz od skrzydła trzy kompanie batalionu III-go 1 p. p. pod dowództwem por. Bukackiego (Burhardta). Jedna kompania II batalionu pozostała w osłonie artylerji (górska bateria por. Meissnera), zaś batalion I — w odwodzie mjr. Śmigłego.

Natarciem frontalnem na kotę 360 dowodził kpt. Herwin, komendant II/1 p. p. Wsparcie artylerji poza paru baterjami austriackimi, które już stały za tym odcinkiem — daje przydzielona górska bateria por. Meissnera. Przydzielona do nas od miesiąca ta austriacka bateria żyła się z brygadą całkowicie, pracuje świetnie, z odwagą i poświęceniem, najczęściej w pierwszych liniach piechoty i teraz prowadzi nadzwyczaj skuteczny ogień z odległości kilkuset metrów od nieprzyjaciela.

Batalion trzeci rozwinął się na lewo od czołowej kompanji batalionu II-go dwiema kompanjami w pierwszej linii (1-a ppor. Puklerza-Millera na prawo i 2-ga por. Tatara-Trześniowskiego na lewo). Z tyłu za lewą kompanją 3-a kompanja ppor. Rawicza-Mysłowskiego. Czołowe natarcie kompanji II batalionu, wkrótce po wyjściu na wzgórce za Meszną, zostało przybite do ziemi nadzwyczaj silnym ogniem karabinowym i karabinów maszynowych. Nie mogło się dalej posuwać bez pomysłnego przebiegu działań na skrzydłach i wzmocnienia. Dowódca II batalionu kpt. Herwin-Piątek

wspiera swą kompanję działaniem plutonu drugiej swej kompanji, która została w osłonie artylerji. Został skierowany pluton ppor. Kruka-Grzybowskiego (Białego) wąwozem na płu.-wsch. wsi, w celu wyjścia na skrzydło wschodnie pozycji rosyjskiej, zatrzymującej natarcie kompanji 1-ej.

Decyzja zapadła jednak przedewszystkiem na skutek brawurowego działania III batalionu na zachodnią flankę, atakowanej przez 1 p. p. pozycji.

Batalion III-ci bez trudności doszedł do stanowisk, trzymany przez austriackich huzarów; położenie nieprzyjaciela nie było dostatecznie rozpoznane, a teren trudny i nieprzejrzysty — las i jary. Z rejonu natarcia II batalionu szły tymczasem odgłosy gwałtownego boju. Na rozkaz dowódcy batalionu kompanje, rozwinięte w tyraljery, poszły bez zwłoki za swymi bojowymi patrolami. Po przejściu pierwszego większego jaru (na pldn.-zach. od koty 360) spędzono patrole nieprzyjacielskie, wymijając pobojowisko, usłane trupami austriackich żołnierzy.

W chwili, gdy tyraljerzy kompanij czołowych poczęli wydostawać się z przeciwległego stoku na górę, nieprzyjaciel otworzył w kierunku prawego naszego skrzydła szalony ogień; odgłosy „ekrazytówek”, terkot karabinów maszynowych, rozlegały się echem z różnych stron po lesie, utrudniając orientację. Chwila zawahania się nie trwała długo, szybko wykryto przed sobą dobrze zamaskowane rosyjskie okopy i 1-a kompanja ruszyła do szturm. Część Moskali uciekła, kilkudziesięciu wzięto do niewoli.

Tymczasem prawe skrzydło kompanji stwierdza, że nieprzyjaciel obsadza silnie w kierunku na prawo od natarcia rejon koty 360 i stamtąd razi dotkliwie swym ogniem. Kompanja 1-a zmienia wtedy front na prawo i naciera w kierunku koty

360. Żeby osiągnąć nieprzyjaciela, trzeba było przejść wąwóz o stromych brzegach pod silnym ogniem. Na domiar złego, po przejściu tej przeszkody, do szalonego ognia rosyjskich karabinów maszynowych dołącza się ogień austriackich bateryj, które nie utrzymywały dostatecznej łączności z posuwającym się natarciem.

Kompanja ponosi tu ciężkie straty, padają ranni wszyscy oficerowie (ppor. Puklerz-Müller, ppor. Sawicki, ppor. Pierwotny-Wojciechowski). Parcie naprzód nie ustaje jednak, komendę obejmuje sierżant Kalina¹⁾. Resztki kompanji docierają do okopów rosyjskich, dobrze wybudowanych i nawet częściowo odrutowanych.

Nieprzyjaciół parokrotnie tutaj silniejszy—nie wytrzymywał nerwowo. Moskale poczynają pojedynczo rzucać się do ucieczki. Nasi uderzają na bagnety, zdobywają okopy, biorąc kilkakrotnie większą od swej siły ilość jeńców.

Sierżant Kalina-Zieleniewski wkrótce dowiadyje się od wysłanych natychmiast po szturmie patroli, że dalej na skraju lasu znajdują się jeszcze nowe okopy, obsadzone przez nieprzyjaciela. Bez straty czasu rusza naprzód, by znów na nie uderzyć.

Złamani moralnie Moskale, nie stawiają oporu i poddają się bez większych trudności.

Zaczyna się wyłapywanie całych grup nieprzyjacielskich, rozproszonych po lesie, oszołomionych uderzeniem. Dzieją się rzeczy wprost niewiarogodne, pojedynczy strzelcy biorą po kilkadziesiąt jeńców. Ppor. Wyżel²⁾ z 8 ludźmi zaskakuje w lesie dwie kompanje, nadchodzące z pomocą i bierze je do niewoli (3 oficerów i 100 ludzi).

Kompanja por. Tatara-Trzeźniowskiego w międzyczasie zdobyła szturmem okopy rosyjskie na wzgórzu na płn.-zach. od koty 360, biorąc kilkadziesiąt jeńców. Dowódca III bataljonu por. Burhardt-Buckacki wobec zmiany kierunku natarcia 1-ej kompanji, dla wypełnienia powstającej luki, wysłał z odwodu swego patrola i pluton dla wzmocnienia kompanji pierwszej.

Po zarysowaniu się powodzenia w natarciu III bataljonu, mogły ruszyć oddziały II bataljonu, które utknęły przed kotą 360. Dla wzmocnienia uderzenia w tym kierunku mjr. Śmigły ze swego odwodu wydzielił 1/I bataljonu (por. Dęba-Biernackiego). W chwili, gdy III bataljon zaczął flankować obrońców kotę 360, rzucają się do szturmów kompanje ppor. Kruka Czarnego - Kruszewskiego i por. Dęba-Biernackiego, zdobywają stanowiska rosyjskie i biorą kilkadziesiąt jeńców.

Oba bataljony 1 p. p. obsadzają około 6 wież zdobycie na kocie 360 stanowiska, wysuwając się na przeciwległą północną lizjerę lasu. Natych-

miast wysłano patrola bojowego za resztkami nieprzyjaciela, ku rzece Białej.

Uwieńczeniem było wzięcie wkrótce potem przez jeden z patroli 1 p. p. (prowadzony przez sierżanta Świdorskiego na czele siedmiu żołnierzy) całego sztabu 132 p. p. (ppłk., 4 oficerów, ok. 30 żołnierzy).

W ten sposób natarciem bataljonów mjr. Śmigłego został rozbity 132 benderski p. p. ros., który parę godzin przedtem zadał klęskę grupie płk. Pattay'a (18 p. obr. kraj., części 30 p. p.) i stworzył sytuację groźną dla całej 43 dywizji, a tem samem dla skrzydła 4 armji austriackiej.

Działania bataljonu V-go, który pod dowództwem kpt. Ryłskiego został skierowany przez ppłk. Sosnkowskiego na kotę 342, nie zostały zakończone w tak szybkim czasie równie pomyślnie.

Już w rejonie folw. Kozaczyzna bataljon dostaje się w strefę ognia nieprzyjacielskiego, którym Rosjanie kierowali z bardzo dogodnych obserwacyjnych punktów, z prawego brzegu rz. Białej (z rej. koty 403). W tych warunkach V bataljon do zmroku dotarł tylko do wzgórz, położonych bezpośrednio na południe od koty 342. Tu zatrzymano się, wysuwając ubezpieczenia i nawiązując łączność z brygadą 38 dywizji, która działała tu na lewym skrzydle sąsiedniej (3-ej) austriackiej armji.

Dowódca tej brygady gen. Nottes, Węgier, w przeciwieństwie do dotychczasowej naszej praktyki z oficerami austriackimi — nietylko zamianował swoją koleżeńską, ale nawet oddał do dyspozycji kpt. Ryłskiego jeden ze swych bataljonów (z 22 pułku honwedów) dla wsparcia akcji na kotę 342.

Po zajęciu przez nasze bataljony stanowisk w rejonie koty 360—rosyjska artylerja zwróciła na nie swój ogień, jednak bez większej dla nas krzywdy.

23.12. Atak na wzgórze pod Łowczowem. Złamanie rosyjskich ataków pod Łowczówkiem.

Noc z 23 na 24 nie upłynęła spokojnie. Po krótkim zastoju, jaki nastąpił po udanym natarciu 1 p. p. na kotę 360, pole walki coraz częściej wybuchło odgłosami strzałów, z obu stron ożywiona praca i ruchy.

Rosjanie podciągają odwody i podsuwają się pod nasze pozycje, przygotowują przeciwnatarcie.

U nas wzmacnianie obsady odebranych stanowisk. Na odcinek III bataljonu nadchodzą kompanje 18 p. obrony krajowej (ca 300 karabinów, zebranych po pogromie), oraz kompanja por. Rokity¹⁾ IV bataljonu.

¹⁾ Płk. Zieleniewski.

²⁾ Płk. Ścieżyński.

¹⁾ Gen. Raczyński-Maksymowicz.

Prawe skrzydło 1 p. p., t. j. bataljon kpt. Herwina (II/1), wsparte zostaje kompanją z I bataljonu, odwodu 1 p. p. majora Śmigłego.

Najważniejszym wypadkiem nocy było wycofanie się z koty 367 sąsiadującego z 1 p. p. austriackiego bataljonu (30 p. p.). co stworzyło groźną sytuację dla naszego lewego skrzydła. Oddziały kawalerji (z 11 dywizji kawalerji, które skierowano nato miejsce, nie wysunęły się już na wysokość naszego frontu, lecz pozostały głębiej w tyle.

Na sąsiadujących z I brygadą odcinkach trwały w dn. 22.12 ciężkie walki. Dywizja 43 utrzymała swe stanowiska.

Zapowiedziano na dz. 23.12 nadejście do rejonu na płdnie od Łowczówka większych sił austriackich (XI. K. A.).

W tej sytuacji wydaje ppłk Sosnkowski w ciągu nocy rozkazy:

- 1) 1 p. p. ma utrzymać zdobyte stanowiska,
- 2) V bataljon o świcie ma zaatakować kotę 342,
- 3) Z obwodów brygady

— bataljon II z rej. karczmy Brzezina na zachodni skraj lasów koty 360 dla osłonięcia stanowisk lewego skrzydła.

— bataljon IV — do Mesznej Szlacheckiej.

Szef sztabu zamierza zatem odebrać resztę pozycji, utraconej przez Austriaków i utrzymać je aż do nadejścia zapowiedzianych nowych sił.

Natarcie V bataljonu na kotę 342 rozwinęło się z opóźnieniem mimo, że kpt. Ryłski rozpoczął swój ruch przed świtem. Rosjanie otworzyli ogień artylerji (ciężkie haubice) i karabinów maszynowych specjalnie silny, gdy natarcie weszło na wzgórza koty 342.

Straty ponieśli dość poważne honwedzi, słabsze V bataljon.

Ugrupowanie natarcia: od prawego skrzydła — kompanja I-a por. Sawy-Sawickiego, kompanja 3-a por. Wir-Konasa, kompanja honwedów i kompanja 2-ga por. Szyszłowskiego; w rezerwie kompanja saperów ppor. Dąbkowskiego. Atak wsparty był ogniem karabinów maszynowych honwedów oraz z flanki od koty 360 przez I bataljon 1 pułku — oraz ogniem baterji Meissnera i dwóch bataljonów, stojących między karczmą Brzezina a Meszną Szlachecką.

Kota 342 była słabo obsadzona i została zajęta bez trudności — silniejsza obsada była na wzgórzu kilkaset kroków na płnc. od tej koty. Kpt. Ryłski naciera dalej i wyrzuca nieprzyjaciela z okopów. W dalszym rozwoju natarcia zajmuje teren wsi Łowczowa i opanowuje prawie całkowicie brzeg lewy rz. Białej. Nieprzyjaciel uparczywie trzyma się głównie przed skrzydłem lewym kpt. Ryłskiego, które w stosunku do I bataljonu jest nieco wysunięte naprzód. Dowodzący tu kompanją swoją i kom-

panją honwedów por. Wir-Konas przeprowadza po południu uderzenie na rosyjskie okopy, znajdujące się przed nim o 200 kroków.

Rosjanie odpowiedzieli przeciw uderzeniami, które zostały odparte.

Na prawo od V bataljonu sąsiadowały oddziały gen. Noltesa, złożone z landszturmistów o bardzo nerwowym nastroju. Natychmiast rzucali się do ucieczki, gdy na froncie kpt. Ryłskiego rozpoczęła się gwałtowniejsza walka. Oficerowie nasi i walczących przy nas honwedów — musieli gwałtem zapędzać z powrotem cofających się pospolitaków.

Ze względu na zbyt silne wysunięcie się prawego skrzydła V bataljonu i niepewnych sąsiadów, ppłk. Sosnkowski poleca kpt. Ryłskiemu nie angażować się na tym odcinku za daleko i tylko mocno usadowić się do obrony koty 342.

Położenie na lewym skrzydle brygady od rana już zaczyna się wikłać. Bataljon III/1, który trzymał kotę 360, znalazł się w powietrzu, wskutek opuszczenia w nocy przez sąsiedni bataljon austr. 30 p. p. koty 367 (na zachód od 360).

Ppłk. Sosnkowski, wyczuwając narastającą groźbę flankowego ataku od strony Pleśnej, który wąwozem od Łowczówka na Meszną idącym mógł wyprowadzić nieprzyjaciela na tyły 1 p. p. — od rana zajął się przegrupowaniem swych sił na lewym skrzydle.

Koło 7 godz. zostaje II/2 p. p. (por. Olszyny) skierowany na przedłużenie zachodniego skrzydła brygady. Jak słuszne było wycucie położenia, wskazuje przebieg działań II bataljonu.

Został on wysłany w ostatniej niemal chwili — przesuając się na wskazane stanowiska terenem, pociętym i nieprzejrzywym na lewo od III bataljonu 1 p. p. niespodzianie natyka się na silne oddziały rosyjskie. W gwałtownej walce która się tu wywiązała, ginie ppor. Urzupis-Zagórski, idący przed swą kompanją czołową, w uszykowaniu nacierającego przez las bataljonu.

Bataljon zatrzymał się, rozwinął, zajął stanowiska i utrzymał nieprzyjaciela w bliskiej odległości, bagnetem odpierając ataki.

Na zachód od II bataljonu dla zabezpieczenia od strony opuszczonej koty 367, obsadza w wzgórza w rejonie Rychwałdu VI bataljon por. Ludwika (Piskora). Komendę nad całym skrzydłem, t. j. odcinkiem na zachód od pułku mjr. Śmigłego obejmuje kpt. Fleszar-Satyr.

Brak koordynacji ze strony austriackiego dowódcy grupy, utrudniał i tak już ciężkie położenie. W tyle poza frontem lewego skrzydła brygady zajęły obronne stanowiska oddziały kawalerji, które skierowało tu austriackie dowództwo na skutek opuszczenia koty 367 przez bataljon 30 p. p. Podciągnięcie tych oddziałów na wysokość naszego

frontu usunęłoby, narastające od Pleśnej niebezpieczeństwo. To też ppłk. Sosnkowski parokrotnie zwraca się z tą propozycją do dowództwa grupy. Przedstawienia te nie odnosiły skutku, rzekomo z powodu przeważających sił nieprzyjaciela koło Pleśnej — obiecywano natomiast, że tego dnia jeszcze, wieczorem, nastąpi w tym odcinku natarcie 11 dywizji piechoty.

Żeby utrzymać zdobyte stanowiska w oczekiwaniu na ruchy 11 dywizji piechoty — zmuszony jest szef sztabu zużyć (o godz. 8 rano) do końca swe odwody — zostaje dla podtrzymania II bataljonu wprowadzony i ostatni bataljon IV — zamyka on lukę między bataljonem II i VI, t. j. wyjście z wąwozu od Pleśnej Łowczówka, którądy nieprzyjaciel skrycie usiłował przedostawać się na tyły koty 360.

Przesunięcia te zostały dokonane jeszcze z rana i oddziały zdążyły się znaleźć na miejscu, gdy natarcia na tym odcinku zaczęły się powtarzać z coraz więcej rosnącą gwałtownością i uporem. Ataki rosyjskie załamywały się w ogniu lub przeciwnatarciach na bagnety naszych kompanij. W rękach naszych pozostawali jeńcy i wiele materiału. W południe zaczynało brakować naszym strzelcom amunicji (szczególnie w III/1 p.), szybko zorientowali się młodszy dowódcy i nie tracąc zimnej krwi „przebroili“ swe plutony w broń zdobytą rosyjską, do której leżały stosy amunicji, porzuconej przez wypartych przez nas Rosjan. Dostawa amunicji była utrudniona złym stanem dróg w terenie górzystym. Nieprzyjaciel przytem gwałtownie ostrzeliwał każdy ruch po drogach i grzbiecie od karczmy Brzezcie do domków Meszny Szlacheckiej. Komenda brygady, aby zaradzić temu, organizuje wysunięty skład amunicyjny, pod kierownictwem ppor. Kadena-Bandrowskiego i dostawę przez wzgórze, ostrzeliwane ogniem nieprzyjaciela, przy pomocy ludzi z bataljonu uzupełniającego, który właśnie nadszedł na pole walki i stanął w rezerwie. Dowódca tego baonu, kpt. Berbecki osobiście prowadzi partję swoich ludzi z amunicją, było to dla nich pierwszym w tej bitwie występem, z 40-tu przytem było kilku ludzi strat.

Twardą obronę naszych oddziałów cechowała na każdym kroku pomysłowa inicjatywa, ruchliwość i poświęcenie.

W pewnym momencie Rosjanie ponowili swe uderzenia na zachód od koty 360, wspierając je silnym ogniem karabinów maszynowych z dominujących stanowisk w rejonie Łowczówka. Napór powstrzymywała kompanja por. Narbuta-Łuczyńskiego i odwody (z IV bataljonu), które kierował komendant odcinka kpt. Fleszar to na odcinek VI, to II bataljonu, ostateczne jednak załamanie ataku zapewne musiały spowodzić ruchliwe wypadki patroli i oddziałków VI bataljonu por. Ludwika Pi-

skora, które korzystając z zalesionego i poprzeczanego terenu — wydostawały się na flanki i tyły oddziałów rosyjskich, demoralizując je ogniewymi napadami.

Ciężką walkę cały dzień toczy też obsada koty 360, t. j. pułk mjr. Śmigłego, walka na tym odcinku była prowadzona z bohaterskim uporem i poświęceniem. Oficerowie i podoficerowie nawet ciężko ranni nie schodzili z pola. Tu ppor. Bortnowski mimo strzaskanej kulami karabinu maszynowego szczęki, nie przestaje dowodzić swym oddziałem.

Szereg złamanych szturmów przypłacają Moskale krwawymi stratami. Nieprzyjaciel wielokrotnie odbity zapadał w bezpośredniej bliskości 40 — 50 kroków, ściągając nowe posiłki pod osłoną zalesionego terenu. U nas nie starczało sił, by głębszemi przeciwnatarciami zniszczyć wstrząśniętego niepowodzeniem.

Po zdobyciu przez V bataljon wzgórz Łowczowa — nieprzyjaciel i tam pod wieczór spróbował szturmu i w walce na bagnety został odparty.

Położenie brygady pozostawionej samej sobie na wysuniętych stanowiskach wobec przeważającego przeciwnika — stawało się z każdą chwilą cięższe. Odwody piechoty zostały zużyte, ppłk. Sosnkowski podciąga z Lichwina Dolnego konnicę, dotąd nie wprowadzaną do boju. Przed kwaterą sztabu brygady został ranny jej komendant rtm. Belina.

Wieczorem dopiero dowództwo grupy nadsyła słabe wzmocnienie w postaci 5 kompanij 30 pułku pod komendą ppłk. austr. Hałuszki. Szef sztabu osiąga swym naciskiem, to, że znów pod wieczór znajdujące się pod groźnym naciskiem nasze lewe skrzydło zostaje wzmocnione 2 kompanjami i 4 karabinami maszynowymi z oddziału ppłk. Hałuszki. Odcinek VI baonu również otrzymuje wzmocnienie z 30 pułku.

Zapowiedziany ruch naprzód 11 dywizji piechoty, który mógł rzeczywiście poprawić położenie brygady nie odbył się. Jedynie na prawem skrzydle wprowadzony na nasz odcinek silny marszowy bataljon 5 p. honwedów przyniósł chwilową ulgę, pozwalając dowódcy V bataljonu kpt. Ryłskiemu, utworzyć odwód i wzmocnić swój front.

Nieprzyjaciel, mimo otrzymanych dotkliwych cięgow nie rezygnuje i pod osłoną nocy zbliża się znów pod nasze stanowiska, na odległość często 20 — 30 kroków. Noc przechodzi w napięciu, na całym niemal froncie trwa silny, na najbliższą odległość prowadzony, bój ogniowy.

Mając tak silnie związane oddziały nie mógł ppłk. Sosnkowski przeprowadzić przegrupowanie sił w celu stworzenia własnych odwodów. Posiadał w nocy z dnia 23 na 24 jeszcze bataljon uzupełniający kpt. Berbeckiego, a pozatem zmuszony

był poprzestać na odwodach odcinków, które ich dowódcy byli w stanie skupić oraz na niepewnych kombinowanych grupach kompanij z różnych austriackich pułków, nadchodzących w ciągu nocy. Obronę naszą wzmacnia natomiast silna artylerja z 30 dywizji, której baterje zajmują stanowiska w rejonie Lichwina Górnego i Dolnego.

Dz. 24.12 — Bój pod Łowczówkiem — Łowczowem.

Dzień rozpoczyna się masywnym i dobrze prowadzonym z obserwatorów po wschodniej stronie rz. Białej (kota 403) — ogniem artylerji rosyjskiej na nasze stanowiska. Staje się oczywiste, że nieprzyjaciół powtórzyć chce szturm generalny i poprzedza go gwałtownym przygotowaniem.

Nieustająca walka prowadzona na najbliższych odległościach, nie pozwoliła naszym żołnierzom na rozbudowanie okopów, któreby osłoniły od ognia. To też oddziały ponoszą dotkliwe straty.

Wkrótce nastąpił szereg silnych, powtarzających się bez przerwy ataków. Nacierają pułki 131 z 33 dywizji piechoty, z którą już walczone od pierwszego dnia i 175 pułk z 44 dywizji, sprovedzonej najwidoczniej tej nocy. Oddziały tej dywizji według zeznań jeńców słynne były w armji rosyjskiej ze swych ataków na bagnety. Pułk 175, najlepszy z 44 dywizji, specjalnie ściągnięto, by złamać uporczywie walczący front naszej brygady i spłacić dług za rozbitą przez nas w pierwszym dniu tej bitwy, 132 pułk piechoty, w którym jakoby zostało po 20—30 ludzi w kompanjach.

Koło południa bój rozgorzał na całym froncie. Położenie na kilku odcinkach stawało się krytyczne.

Ze specjalnym uporem atakuje nieprzyjaciół stanowiska 1-go p. p., tu na bataljon I uderza gros 131 pułku, doprowadzone skrycie jarami i laskami, znajdującymi się przed frontem — z bliskiej opległości masy rosyjskie runęły na czołowe kompanje V bataljonu, wyrzucając z okopów stojącą tutaj kompanję 18 pułku.

Położenie ratują natychmiast przeprowadzone natychmiast przeciwuderzenia, a w szczególności inicjatywa d-cy plutonu I (2 k./I p. p.) ppor. Lubicz - Sadowskiego, a wkońcu przeciwuderzenia kompanji por. Dragata i por. Dęba-Biernackiego. Ppor. Lubicz - Sadowski, zawiadomiony na czas przez swe ubezpieczenia, — wysuwa się na krawędź wawozu, którym nadciąga rosyjski bataljon. Przyjmuje go ogniem, zmusza do ucieczki i szturmuje, biorąc kilkadziesiąt jeńców.

W walkach tych zostaje ranny d-ca bataljonu II/1 p. p. kpt. Herwin.

Ciężkie chwile przeszedł też i bataljon kpt. Ryłskiego. Na skutek przerwania na sąsiednim z prawa odcinku (grupa Schumaya w rej. Tucho-

wa) — bataljon honwedów, który wzmocnił nasze skrzydło prawe ubiegłej nocy, został niespodziewanie i bez uprzedzenia wycofany dla ratowania sąsiedniego odcinka. W tym momencie rozpoczyna się szturm rosyjski na V bataljon. Zostają zaangażowane bataljonowe odwody, przede wszystkim do wypełnienia luki na prawem skrzydle. Stanowisk nie daje się jednak utrzymać tembardziej, że zawodzić zaczynają powtykani kompanjami we front bataljonu V-go honwedzi z 22 p., którzy dotąd bili się świetnie, jednocześnie zaś wypadki na lewo w bataljonie I rozwijają się źle.



Juliusz Kaden Bandrowski i ś. p. kpt. Grudziński.

Z tego rejonu poczynają Moskale ostrzeliwać flankowym ogniem karabinów maszynowych V bataljon. W tych warunkach kpt. Ryłski, którego bataljon posunął się aż do wsi Łowczów i wyrzucił Rosjan aż za rzekę Białą, widzi się zmuszony wycofać nieco w tył na kotę 342. Tu wraz z karabinami maszynowymi 80 p.p. i kompanjami 22 p.p. honwedów utrzymuje stanowiska, dołączając do sąsiada, I bat./1 p. p., który tymczasem przeciwuderzeniami odparł wdzierające się kompanje rosyjskie.

Poza frontem brygady koło godz. 3 po poł. zjawiają się nowe oddziały, w składzie 5 słabych kompanij 24 bataljonu jęgrów pod płk. Gerö, które zostają rozmieszczone jako odwody poza stanowiskami naszymi na kotach 342 (trzy kompanje) i 360 (dwie kompanje).

Znów zanotować trzeba stosunek bez poczucia odpowiedzialności ze strony sąsiada sprzymierzonego. Tym razem przyjął ten incydent for-

mę nadzwyczaj drastyczną: płk. Gerö nie tylko ogranicza się do biernej obserwacji rozgrywających się wypadków, ale odmawia nawet drobnych pomocy w postaci paczki amunicji, czy plutonu dla zabezpieczenia skrzydła lub zamknięcia luki.

Nienormalne stosunki dowodzenia, najwidoczniej wynikające z niechęci, wbrew wymogom sytuacji i zdrowego rozsądku, oddania oddziałów austriackich wyraźnie pod komendę legjonową. — nadzwyczaj utrudniały pracę dowódcy brygady.

Już w pierwszym dniu zrozumiał ppłk. Sosnkowski, że doprowadzenie do porządnego dowodzenia na odcinku jest nieosiągalne. To też za główny cel postawił sobie wobec Austriaków wydobycie od nich karabinów maszynowych, których nie mieliśmy — oraz amunicji, gdyż brygada weszła do boju z niewystarczającym jej zapasem.

Również nie zdobyto się na porządną współpracę z naszą piechotą bateryj, jakie zastaliśmy na odcinku. Oficerowie łącznikowi artylerji nie zjawili się wcale, obserwatorów nie było widać, gdzie należy.

Jedynie płk. Romer, dowodzący artylerją na wyższym szczeblu, zainteresował się tą sprawą, jego przyjazd jednak na nasz odcinek, a zatem zarządzenia miały miejsce w końcowej fazie bitwy.

Jak zwykle natomiast przykładem świeci „nasza” austriacka bateria por. Meissnera, styryjczyka z pochodzenia, który coraz większą zyskuje u nas sympatię, sam zaś staje się gorącym wielbicielem legjonów.

Uporczywa walka trwa w dniu 24.12 do wieczora. Siły nieprzyjaciela wzrastają co najmniej do 3-ch pułków (jeńcy), sąsiednia 11 dyw. piech, nie posuwa się dostatecznie naprzód. Nacisk na oba skrzydła brygady trwa — oddziały cierpią od ognia.

Po złamaniu ataków rosyjskich nadchodzi telefoniczna wiadomość o niepowodzeniu na sąsiednim odcinku pod Tuchowem i rozkaz za pośrednictwem ppłk. Hałuszki, że należy z kot 360 i 342 wszystkie oddziały wycofać w tył na najbliższe linje oporu. Ppłk. Sosnkowski wydaje rozkazy opuszczenia stanowisk i odwrotu w kierunku na karczmę Brzezcie.

Z chwilą, gdy nadeszły ostatnie prawie oddziały, otrzymuje szef sztabu rozkaz 30 dyw. piech. obrony krajowej przez ppłk. Bezdiczkę, stwierdzający nieporozumienie i rozkaz powrotu na stanowiska poprzednie.

Była już zupełna noc, bataljony znużone ciężką walką, robią w tył zwrot i brnąc w zlodowiałym błocie — idą z powrotem, gotowi bagnetem odebrać niepotrzebnie opuszczone pozycje.

Rzeczywiście z części okopów trzeba było wyrzucać Rosjan, którzy się tam usadowili. Szczególnie bataljon II musiał bagnetem robić sobie miejsce. Parę godzin trwa po nocy ten ruch po-

wrotny naszych bataljonów, nużący psychicznie i fizycznie żołnierza. Jak było do przewidzenia, oddziały austriackie w przeważnej części nie powróciły już na stare stanowiska, powstały luki po kompanjach 30 p. p. i na wschód o koty 342, co odsłoniło zupełnie prawą flankę brygady. Front brygady wynosi od wzgórz Rychwałdu po kotę 342 włącznie — blisko 4 km., jej siły — 20 kompanij po 60 — 90 ludzi w I-ym dniu walki, brak własnych karabinów maszynowych. Nieprzyjaciel — 3—4 pułki, z nich niektóre o pełnych stanach ok. 800 w bataljonach.

Mimo wszystko ppłk. Sosnkowski decyduje utrzymać stanowiska za każdą cenę. Nie mogąc z braku rezerw wypełnić wszystkich luk i przedłużyć skrzydeł, nakazuje ppłk. Sosnkowski bataljonowi V przesunąć się bliżej ku 1 pułkowi i od koty 342 ubezpieczyć się tylko słabymi elementami. Jednocześnie zwraca się szef sztabu do dowództwa grupy, przedstawiając w jakiej eksponowanej sytuacji znalazł się po ponownym zajęciu stanowisk, na które nie powrócił nikt poza legjonem i kilku kompanjami austr. 78 p. p.

Stojąc wobec przeważającego nieprzyjaciela, skrzydłami swemi brygada była wysunięta o 1½ km. naprzód w stosunku do sąsiadów.

Ten nacisk na dowództwo grupy powoduje przysłanie pięciu kompanij 30 pułku, które ppłk. Bezdiczka kieruje na przedłużenie prawego skrzydła brygady, t. j. obsadzenie koty 342.

Ppłk. Sosnkowski luzuje najwięcej zmęczone bataljony, t. j. III i II/1 p. p. do godz. 12-iej bataljonem uzup. kpt. Berbeckiego.

Noc upływa na porządkowaniu obsady, walce ogniowej, wybuchającej gwałtownie od czasu do czasu, na skutek jakiegoś odgłosu czy ruchu... i śpiewaniu przez obie wrogie linje kolend. Stały przed legjonowemi bataljonami „po tamtej stronie” pułki rosyjskie, które wypełnił polski rezerwista.

25.12. Odwrót z pod Łowczówka.

Od samego rana pole walki zalega gęsta mgła. Obserwacja do 30 — 40 kroków. Artylerja milczy. Tylko linja piechoty wybucha od czasu do czasu strzałami karabinowemi: to patrole rosyjskie, a nawet tu i owdzie wypadły i ataki pod osłoną mgły przeprowadzane. Nasze kompanje natychmiast je likwidują. Nastrój żołnierza mimo bezprzykładnego znużenia dobry, dzięki pełnej poświęcenia pracy dowódców, oficerów i podoficerów. W kilku miejscach, szczególnie w bataljonie IV nasi chłopcy urządzają regularnie polowania na Moskali. Mgła, teren poprzecinany jarami i laskami, luki jakie potworzyły się w linji wskutek „ruchliwości w kierunku tyłów” powtykanych we front oddziałów austriackich, z których po wczorajszym odwrocie w nocy nie

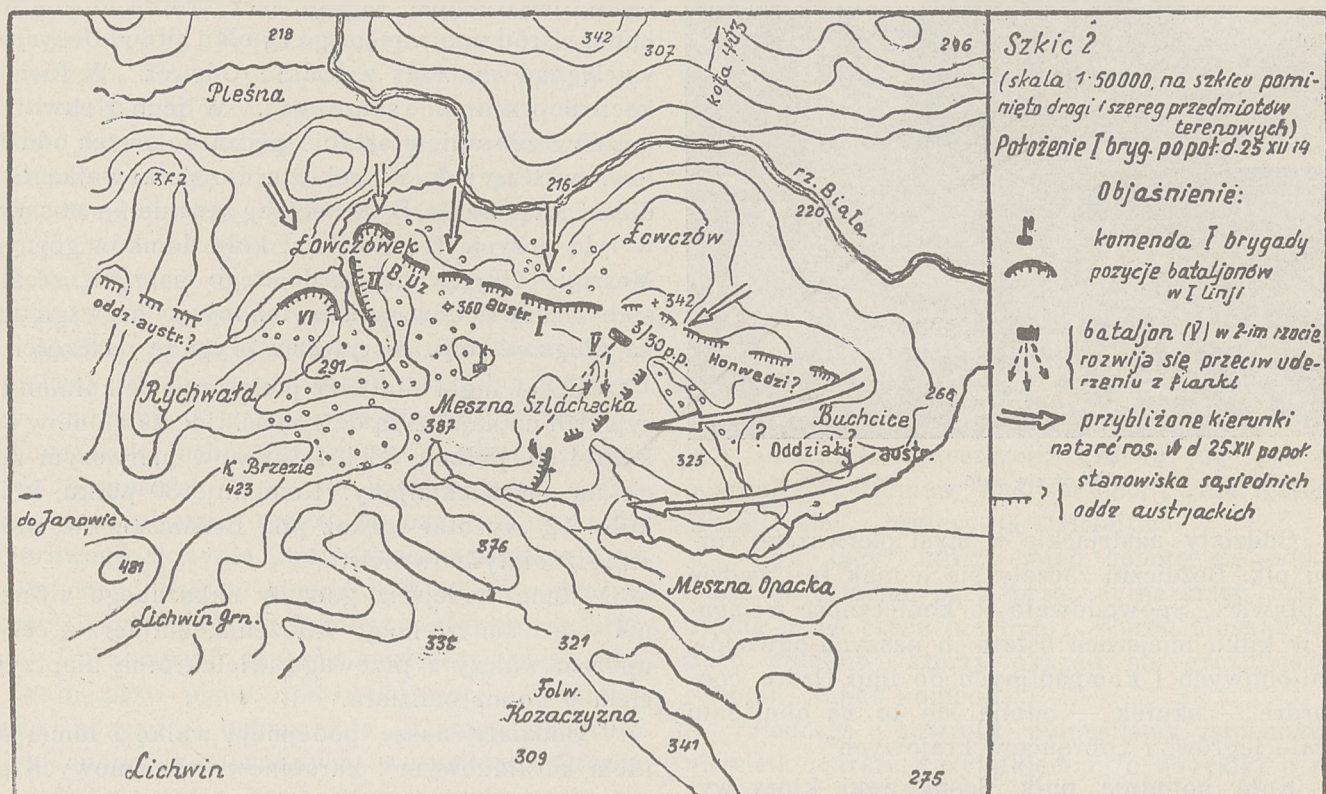
wszystkie powróciły — stworzyły sytuację nadzwyczaj niepewną, trzymającą nerwy w stałym napięciu, sprzyjającą drobnym przedsięwzięciom i zaskoczeniu.

Do sztabu brygady (chałupka na wzgórzu w pobliżu koty 360, podzielona między dowództwa ppłk. Sosnkowskiego i majora Śmigłego)—od wczesnego ranka przyprowadzają pojmanych jeńców.

Ppłk. Sosnkowski osobiście ich przesłuchuje. Z zeznań wynika, że nieprzyjaciel z każdą godziną się wzmacnia, wyszły już rozkazy do natarcia, mają

Po zluzowaniu części 1 p. p. przez bataljon kpt. Berbeckiego i zebraniu gros bataljonu V w odwodzie za stykiem bataljonu 30 p. p., który obsadził kotę 342, z bataljonem I, rozmieszczenie naszych sił przedstawia się jak na szkicu Nr. 2.

Na rozkaz szefa kpt. Ryłski obejmuje nad ranem 25.12 komendę nad odcinkiem bataljonu V i I. Nad bataljonem I-ym po kpt. Kubie-Bojarskim, który poległ w dniu wczorajszym, obejmuje komendę ob. Słomka (Dreszer), zabity w parę godzin potem.



odebrać nasze stanowiska za wszelką cenę. Stwierdzono tą drogą obecność przed naszym frontem coś z 7 pułków 33 i 44 dywizji.

Dowódcy kompanij i baonów — nawet pozostający w 2-iej linii, czujnością swą, obecnością w miejscach niepewnych, nawiązywaniem łączności patrolami oficerskimi podtrzymują ducha i gotowość bojową. Tu kpt. Berbecki „kontroluje ogień w okopach I linii”. Ówdzie por. Dąb-Biernacki z kompanij stojącej w rezerwie wysuwa naprzód i „pryzmatyczną lornetką wyszukuje” po jarach zbierających się Moskali, którzy co chwila ponawiają próby wdarcia się w nasze okopy. Płacą też krwią obficie swoją służbę dowódcy wszelkich stopni. Tegoż dnia kompanijny Król, wysłany jako patrol oficerski między bataljonami kpt. Berbeckiego i por. Olszyny prawdopodobnie niespodziewanie wpada w ręce Moskali¹⁾.

Od początku bitwy dowódca naszej brygady pozostawiony jest prawie całkowicie sam sobie: dowódca grupy brygadier Pattay nie wpływa swymi rozkazami.

Przed ppłk. Sosnkowskim, który od rana czuje narastającą grozę położenia staje pytanie czy ma prawo żądać od swych żołnierzy walki do końca, walki, która mogłaby doprowadzić brygadę do zagłady.

Ta ostateczna ofiara, z koniecznością której liczymy się zawsze, podcięłaby pracę i walkę Komendanta o wojsko polskie. Nie mogło się to stać podczas Jego nieobecności.

Bezwątpienia ppłk. Sosnkowski przychodzi do takiego wniosku. Podejmuje usilne starania, aby brygadę usunąć z pod uderzenia przeważających sił. W tym duchu zwraca propozycję do dowódcy odcinka, w miarę wyjaśnienia położenia na skutek zdobywanych wiadomości.

W sytuacji napiętej do ostatnich granic koło 11-ej przed południem zachodzi incydent, który osłabił

¹⁾ Został później stracony, jako królewski, w Tarnowie, ginąc z okrzykiem „Niech żyje Polska” na ustach...

nasz front, zmniejszając i tak niewielką zdolność do twardej walki kompanij austriackich, które znajdowały się na naszym odcinku.

Na skutek klęski pod Tuchowem płk. Bezdiczka daje rozkazy wycofania się z zajmowanych stanowisk i obsadzenia linii wąwóz i kota 376. Rozkaz ten wkrótce zostaje odwołany, gdyż nadchodzi wiadomość o posuwaniu się naprzód 30 dyw. piech., której dowódca gen. Kaiser objął komendę i nad naszą brygadą.



Jakoś się żyło...

Oddziały austriackie w myśl pierwszego rozkazu płk. Bezdiczki zaczęły się jednak tu i owdzie wycofywać. Spowodowało to konieczność wciągania w kilku miejscach ostatnich naszych odwodów bataljonowych i kompanijnych do linii Ordre, contreordre — skutek — odbija się to na obniżeniu morale jęgrów, i „obrońców krajowych”.

Koło południa ppłk. Sosnkowski, który wyczeka kryzys, jaki przeżywa nasza walcząca bez przerwy od 3-ch dni i nocy piechota, szarpana nerwowo, nie tylko bojem, ale i co najmniej nierównym zachowaniem sąsiadów i „dowództw sprzymierzonych” — nalega na wzmocnienie naszego odcinka i otrzymuje wiadomość od gen. Kaisera, że brygada nasza ma dotrzymać do godz. 1—2 po poł. i będzie zastąpiona przez oddziały 30 dywizji piechoty.

Do oddziałów wysłano awizo o tem i wskazówki o wycofaniu.

Potem—nieskończoność wyczekiwania na wyznaczoną godzinę — w skupieniu i napięciu wśród wybuchającego co chwila na różnych odcinkach rozgwaru walki i stałego koncertu kul i pocisków, co szły z różnych stron na kwaterę sztabu.

Spojrzenia pytające — na zegarek... jeszcze godzina... jeszcze pół... kwadrans.

Wtem, gdy szef stwierdził, że już pięć minut tylko... z różnych stron frontu wybucha gwałtowne „hurra” i piekło strzałów.

Było dobrze po godz. 2-iej po poł., bataljony

nasze przygotowały się do złuzowania i odejścia, gdy nieprzyjaciół rozpoczął niespodzianie szturm na całą linię.

Przyszła najcięższa chwila dla dowódcy w tej bitwie. Czy podjąć walkę. Czy nie spróbować raz jeszcze złamać wolę przeciwnika. Nie dać wydrzeć brygadzie aureoli całkowitego zwycięstwa, odejść potem w triumfie. Rzucić do walki dopiero złuzowane kompanie 1 p. p. Czy podjąć to ryzyko walki i przeciwnatrzeć zmęczonymi oddziałami w terenie i we mgle, co każe przypuszczać, że bój zmieni się w dziki chaos. Ciężka, lecz krótka chwila wahania wśród potężniejącego zgiełku bitwy. Decyzja — wyciągnąć oddziały z walki. Odwrót. W kierunkach poprzednio wskazanych. W jednej chwili — łącznicy zebrani w sztabie pędzą do swych oddziałów, walczących w pobliżu. Do pułkownika Bezdiczki w Mesznie Szlacheckiej żądanie — obsadzić w tyle pozycję z 1-go dnia, koło domków górnych Meszny. Gdyby użyto do tego naszych, zresztą słabych odwodów, zostawionoby je bezwzględnie na długo w linii, rozrywając brygadę na części.

Gęsta mgła ułatwiła podciągnięcie kolumn rosyjskich na najbliższą odległość. Uderzają one w siłę koło 4-ch pułków 33 i 44 dyw. w pierwszym rzucie na nasze bataljony. Kompanie 30 pułku, które koło 12 wycofał rozkaz płk. Bezdiczki, nie wstydkiem zdołały powrócić.

Mimo nadejścia godziny nakazanego wycofania się i śmiertelnego znużenia, żołnierz z całym uporem walczy z przewagą wielokrotną nieprzyjaciela o honor oddziału.

Oddziały nasze podejmują walkę i łamią ogniem karabinowym i karabinów maszynowych parokrotnie ataki rosyjskie z frontu.

Zapowiedziane oddziały austriackiej 30 dywizji nie wchodzą co boju. Na naszych zaś wysuniętych pozycjach położenie staje się groźne z powodu załamania się oddziałów 18, a szczególnie kompanii 30 p. p. — które pod naciskiem mas rosyjskich poczęły uciekać i odstąpiły całkowicie nasze prawe skrzydło. W tym kierunku na V bataljon idzie natarcie dwóch pułków rosyjskich, które wykorzystując lukę — doliną potoku Buchnickiego przesunęły się na tyły koty 342.

Zaskoczony tem obejściem kpt. Ryłski szybko reaguje na groźną zmianę położenia, rozwija na kocie 325 i na płdn. swoje kompaje (Sarmata-Szysłowski, Szpunara i Wir-Konasa) z obstrzałem na wąwóz, którym suną masy Moskali. Wsunęte w szeregi legionowe karabiny maszynowe 80 p. p. austr., biorą udział w ogniu niszczącym nieprzyjaciela.

Zdawać się mogło, że sytuacja zostanie opanowana. Stało się jednak inaczej. Oto jak wyglądały ostatnie godziny walk pod Łowczowem V bataljonu, według słów kpt. Ryłskiego:

„Około 1 po południu dostaliśmy wszyscy rozkaz wycofania się z naszej pozycji, poczynawszy od prawego skrzydła. Oddział 30 p. p. rozpoczął odwrót, za którym postępować miał mój bataljon, następnie I baon w kierunku południowo-zachodnim. Gdy 30 p. p. zupełnie się już wycofał i moje dwie kompanie znajdowały się w marszu, otrzymaliśmy ponowny rozkaz zajęcia pozycji, co natychmiast wykonane zostało. Ciągłe rozkazy do wycofania się i z powrotem, miały bardzo ujemne wrażenie i odbierały otuchę naszym dzielnym żołnierzom, bardzo wycieńczonym, zmęczonym kilkudniowym bojem, brakiem pożywienia i kwater. Około godz. 2½ po poł. ludzie moi chwycili w jarze dwóch żołnierzy piechoty rosyjskiej, tuż za tyłami pozycji I baonu. Schwytani ostrzegli nas że stanowią szpicę straży przedniej 2 pułków piechoty, znajdujących się już na naszych tyłach, nie więcej, jak w odległości pół wiorsty.

Natychmiast dałem rozkaz 2 kompanii, by się rozwinęła na wzgórzu na prawo od jaru, komp. 1 w środku na skraju lasu w jarze, komp. 3 na północnej stronie jaru, karab. masz. na wzgórku przy kompanii 1 z ogólnym frontem na wschód. Równocześnie pchnąłem naprzód patrole przed każdą kompanią. W czasie rozwijania się zdążyłem wysłać pisemny rozkaz do baonu I, do zagięcia prawego skrzydła i równomiernego cofania się z nami, meldunek do kompanii 30 p. p. o groźnej sytuacji i meldunek do komendy głównej ze szkicem. Do kompanii saperów wysłałem rozkaz, która stała przy placu opatrunkowym, obsadzenia tamże pozycji i ochraniania naszego odwrotu. Dzięki energii kompanijnych, wszystkich oficerów i podoficerów oraz wspianiemu zachowaniu się wszystkich ludzi, manewr ten wykonany został z błyskawiczną szybkością, co okazało się koniecznym, gdyż szare masy atakującego nieprzyjaciela w pobliżu się ukazały. Miałem jeszcze tyle czasu by cofnąć wysłane patrole, sam pozostałem przy kompanii 1 w środku. Szturmujących Moskali z głośnem hurra, przywitaliśmy silnym i dobrze celowanym ogniem karabinowym. Za szturmującymi postępujące masy strzelały do nas paczkami. Tu padł ciężko ranny w brzuch i w nogę komendant 1 kompanii Bolesław Szpunar, którego 2 legionistów zabrało z pola walki, lecz nie wiem, co się z nim stało, gdyż dotąd żaden z nich nie powrócił. Maszynowy karabin 80 p. p., który prowadził dzielny feldfebel Ślązak, stał w pozycji, strzelać nie mógł, gdyż na jego polu obstrzału w popłochu uciekały oddziały 30 p. p. z oficerami na czele.

Uciekający Austriacy porzucali karabiny, pomieszczeni się z Moskalami, wpadli na moją kompanię 3 (ob. Wira) oraz na zagięte prawe skrzydło baonu I, które mojem lewem już się połączyć zdołało

i tylko dzięki oficerom i podoficerom, którzy z rewolwerem w ręku austriackim oficerom i żołnierzom zabiegli drogę, mogę zawdzięczać, że nie przyszło do kompletnej katastrofy. Moskale odparci z jednej strony, a napierani z tyłu przez masy za nimi maszerujące przez jary i potoki otaczali nas ze wszech stron tak, że pozostała nam do odwrotu furtka nie szersza, jak 40 kroków. W sytuacji tej odznaczyła się kompania 2, która pod wodzą ob. Sarmata, po odparciu szturmów nieprzyjacielskich wykonywała zaraz szturmy na bagnety na odpartego nieprzyjaciela. Wogóle zostało odpartych 16 szturmów na bagnety. Tylko dzielności, spokojowi i zrozumieniu sytuacji moich oficerów, jak niemniej waleczności moich żołnierzy zawdzięczać należy, że legion nasz nie doznał kompletnej klęski względnie nie uległ kompletnej katastrofie. Epizodów wszystkich opisywać trudno, nadmieniam tylko, że w chwili, gdy ja sam idący za cofającym się oddziałem (1 komp.) zostałem przez 6 Moskali i jednego oficera (który wołał „nie strelat“, „wziat komandira“), otoczony—tylko przytomności i dzielności sapersa Wacława Egermayera („Konrada“) życie zawdzięczam. Szturmujący Moskale wrzeszczeli: „Hurra na polskich ochotników, tiepier was imiejem“, „nie ujdiosz“, „zdajtie sia“, „bratcy nie strielajtie“.

Byli tacy, którzy mieli ochotę się poddać, a szli do szturmowania parci przez tylne masy, lecz na branie jeńca czasu nie było. Wśród Moskali było dużo Polaków, którzy okazali się groźniejszymi i wołali „łapać komendę“.

Podczas odwrotu ponieśliśmy stosunkowo niewielkie straty, z wyjątkiem 2-ch, wszystkich rannych się wycofało“.

W składzie baonu V-go walczyła też, nie ustępując innym kompaniom w uporze, saperska kompania pod dowództwem por. Dąbkowskiego. Wycofanie się V bataljonu ułatwiał swem działaniem i ogniem I bataljon, kierujący się w odwrocie na wzgórze na płnc. od Meszny Szlacheckiej.

W komendzie brygady z wiadomościami z prawego skrzydła zbiegają się meldunki o natarciach z frontu i z lewego skrzydła (II bataljon), o wycofywaniu się oddziałów karabinów maszynowych i kompanii 18 p. jęgrów. Czołowe oddziały 30 dywizji najwidoczniej zatrzymały się w tyle bez zamiaru angażowania się o utrzymanie naszych stanowisk 360 — 342, których skrzydła opuszczone przez sąsiadów były wogóle zbyt eksponowane.

Wydawszy rozkaz odwrotu, ppłk. Sosnkowski opuszcza swą kwaterę i z pistoletem w ręku staje w pobliżu, zgiełk bliskiej walki zdawał się zapowiadać w każdej chwili zaskoczenie. Mgła nie pozwala się orjentować w przebiegu boju, słysząc jednak zbliżanie się walki i wyczuwa się obejście od wschodu, oddziały zaczynają przechodzić obok,

wyczekawszy dłuższą chwilę odchodzi dowódca brygady ku pozycjom już obsadzonym zapewne przez pułkownika Bezdiczkę w rejonie Meszny.

Rozkaz o odwrocie, jak również zawiadomienie o wycofywaniu się od sąsiedniego bataljonu por. Olszyny — nie dochodzą jednak kpt. Berbeckiego. Mgła—trudny teren—uniemożliwiły obserwację. Stara się on jeszcze po godz. 3 po poł. opanować sytuację dookoła, zużywa ostatnie plutony na wypełnienie luk po jęgrach austriackich na prawem skrzydle, które wreszcie zagina. Koło godz. 3 min. 30 kpt. Berbecki otrzymuje meldunki, że w lukę na prawo suną Rosjanie już kompaniami w kolumnach czwórkowych. Nic nie wiedząc o odejściu bataljonu sąsiedniego z lewej por. Olszyny, od którego meldunki go nie doszły, po straceniu własnego patrolu łącznikowego, wysłanego w lewo pod dowództwem kompanijnego Króla—decyduje się cofnąć na rezerwę por. Olszyny zarówno dla własnej pewniejszej obrony, jak i „dla osłonięcia sąsiada od ataku z tyłu“.

Nie zdążył jeszcze kpt. Berbecki wykonać tego zamiaru, gdy został zaatakowany z obu skrzydeł. Żołnierz nie stracił ducha, bataljon został zatrzymany i przyjął morderczym ogniem „paczkami“ nacierającego nieprzyjaciela. Trzykrotnie zostały w ten sposób powstrzymane ataki rosyjskie. Stwierdziwszy, że II bataljonu niema już w okopach, a ogień rosyjskich karabinów maszynowych zaczyna dotkliwie dokuczać z lewego skrzydła — zarządza kpt. Berbecki wycofanie swych kompanij częściami i sam z 1 plutonem z 25 ludzi oraz pporucznikami Iwanickim i Śmigielskim zostaje dla przykrycia odwrotu. Ogniem i bagnetem toruje sobie bataljon uzupełniający drogę w kierunku na kwaterę brygady dokąd dochodzi około 4 godz. 30 min. i dalej na karczmę Brzezcie. Straty, jakie w tych bojach i w odwrocie ponosi bataljon kpt. Berbeckiego wynoszą 32 zabitych, w tem dwóch kompanijnych, 20 rannych w tem 3 oficerów, 34 zaginionych, w tem zapewne połowa zginęła na bagnietach.

Mimo tragicznego niemal położenia prawego skrzydła, odcięcia bataljonu kpt. Berbeckiego i nacisku przeważających sił na całym froncie, bataljony nasze wychodzą naogół obronną ręką, przypłacając jednak stratami ten odwrot.

Kolumny nieprzyjacielskie szły w ślad za bataljonami, które nacisk ich odpierały wielokrotnie silnym ogniem i kilkakrotnymi uderzeniami na bagnety.

Mgła, która ułatwiła Moskalom zebranie się i szturm, była i dla nas sprzymierzeńcem: umożliwiła naszym kompanjom wykorzystanie wąskich, wolnych jeszcze korytarzy i wydobycia się z otaczających mas; nieprzyjacielowi zaś utrudniła orjentację i wreszcie musiała rzucone do szturmury masy

doprowadzić do chaosu, utrudniającego parcie naprzód.

W większości wypadków wyniesiono rannych. O morale oddziałów odchodzących świadczy fakt, że niektóre kompanje zabrały z sobą z okopów nawet zapasową żywność i paczki z amunicją, przenosząc je na nowe pozycje, obsadzone z tyłu przez oddziały austriackie.

Na tych pozycjach dowódca brygady wyczekał, aż przejdą nasze oddziały, skierowane na Lichwin. Potem ppłk. Sosnkowski udał się do dowódcy grupy brygadiera Pattaya i tu za jego pośrednictwem uzyskał od dowódcy dywizji wycofanie brygady całkowicie z frontu.

„Tak cofnął się legion polski, utrzymawszy pozycję do przepisanej godziny“. W bitwie, trwającej bez przerwy 4 dni i 3 noce, brygada odparła kilkanaście generalnych szturmów rosyjskich, wykonała 5 wielkich ataków na bagnety, cały szereg kontrataków i wypadów w obronie i przeciwnatarć podczas odwrotu; wzięto 500 jeńców, w tem 1 ppułkownika, 2 kapitanów, 3 poruczników, 3 chorążych.

Straty jakie ponieśliśmy w tej bitwie wyniosły: 128 zabitych, 342 rannych, między nimi 38 oficerów.

Straty nieprzyjaciela oceniono „na 3000 zabitych i rannych“.

Na wiadomość o ciężkich bojach wraca pośpiesznie do brygady komendant Piłsudski, który wyjechał w sprawach legionowych, gdy stanęliśmy na odpoczynek w Nowym Sączu.

Zastaje swoje bataljony już po bitwie osłabione ciężkim upustem krwi, lecz dumne z bojowej pracy, spełnionej z honorem.

W rozkazie dziennym, wydanym po bitwie pod Łowczówkiem, Komendant mówi:

„Żołnierze

Pięć miesięcy mija od czasu, gdy krwią własną i odwiecznego wroga znaczyście istnienie w Ojczyźnie polskiego żołnierza. Pięć miesięcy krwawej i ciężkiej pracy, która nam dała sławę pierwszorzędnego wojska.

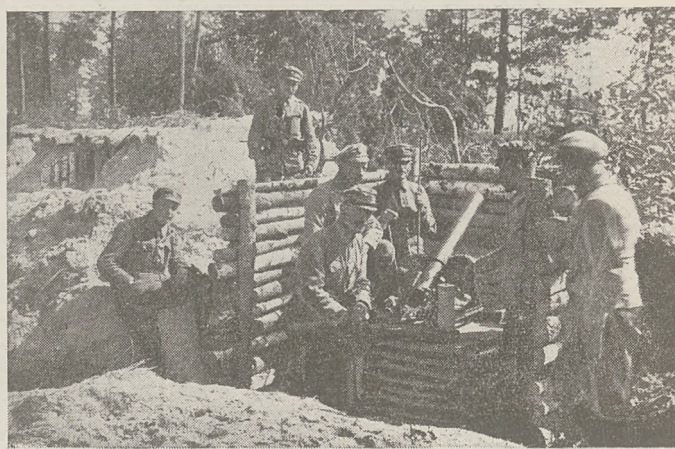
Z pięciu tysięcy ludzi, którzy byli w moim oddziale, tysiąc padło lub zostało rannych w bojach, świadcząc przed wszystkimi, że za honor należenia do naszego żołnierskiego koła, obficie krwią płacić trzeba. Cześć im wszystkim i chwała, a pamiętać o nich niech zawsze będzie bliską naszemu sercu. My zaś będziemy gotowi do dalszych walk i bojów, z których jestem pewien, potrafimy wyjść może uszczupleni w swoim gronie, lecz zawsze z honorem.

U schyłku ubiegłego roku, podczas mojej nieobecności, stoczyliście z przeważającymi siłami bój, najkrwawszy i najcięższy z tych, jakieśmy dotąd mieli. Zyskaliście w nim nową sławę i nowy liść wawrzynu wplećcie do wieńca sławy polskiego żołnierza. W imieniu sprawy, której służymy, dziękuję Wam wszystkim za tę pracę. Jestem

dumny, towarzysze broni, że Wami przewodzę, jestem dumny z kłopotu, że gdy mam w rozkazie dziennym wymienić najbardziej godnych pochwały, szukać muszę czegoś nadzwyczajnego, by wśród ogółu dzielnych, mężnych, znaleźć czyny, które nie będą dla nich powszedniemi“...



Sławni budowniczo.



Mechanicy od piekielnych maszyn.

ADAM KOWALSKI.

ZA WIERNĄ SŁUŻBĘ...

*W miesiąc pp wciekłym dniu na Polskiej Górze,
Gdzie tyle łarby naszej wsiąkło w piachy,
Coś się zmieniło w leguńskiej naturze,
Bo nagle bractwo jęło trzepać łachy,
Onuce suszyć, łatać w portkach dziury,
Guziki drutem wzmacniać, obcinać pazury,
Ba! — nawet golić zardzewiałe pyski.
Cóż to? Czyżby już koniec wojny był tak bliski,
Że aż się golić ma Pierwsza Brygada?
Nie. Jutro — parada!*

*Jak ta parada nazajutrz wypadła,
Trudno opisać wam, bracia najszczerzi.
Takie wzruszenie ścisnęło nam gardła,
Taka nam duma rozsadyła piersi,
Tak się natrętnie łyzy wierciły w oku —
Gdy sam Komendant Piłsudski — bo któżby? —
Nam, szeregowcom przypinał do boku
Najzaszczytniejszy znak żołnierskiej służby.*



A my trzymamy z Dziadkiem... I co nam zrobicie?

KAZIMIERZ ANDRZEJ CZYŻOWSKI.

OSTATNIA SZTAFETA.

*Z roku na rok coś pisać na zjazd wam, koledzy,
i posrebrzać idące ku nam weteraństwo,
to jakby pod Maćkową sięść gruszą na miedzy
i dążące na prężnik odpustowe państwo
to piosenką zabawiać, to wzruszać pacierzem,
że się kiedyś, gdzieś, dawno, było raz żołnierzem.*

*Ano trudno, jak mówił stary kapral Szczapa,
gdy nam Dziadek gazdowstwo dał w Pierwszej Brygadzie,
to choć takiej osady nie znajdziesz na mapach,
wszystkie mapy się dla nas schodzą w tej osadzie
i choć inni na zjazd nasz, jak na odpust jadą,
dla nas zjazd ten jest tylko żołnierską paradą.*

*Gdy się wszystko dokoła ślimaczy, kramarzy,
i znów sukna zielone chce narzucić ziemi,
my właśnie przed Trauguttem stawiamy ołtarze
mszę świętą zaszumiemy sztandarami swemi,
i choć tego nie widzą gapiowie na rynku,
z poległymi idziemy w paradnym ordynku.*

*Niech się pocą mazgaje nad wiecznym pokojem
niech eunuszą, że w Polsce ma być Europa
i niech obce nowinki wciskają w nas łojem,
im więcej, tem śmieszniejsza będzie później szopa,
gdy się w końcu okaże, że ich humanizmy,
to nie sitwa, a siuchta zagranicznej schizmy.*

*A bujać, to my przecież... Więc „spoko”, rodaki!
Raz za króla Augusta, też dla wiecznej ciszy,
z kiesami i przyjaźnią naszły nas cwaniaki
ze stron wszystkich i jak to tam historyk pisze,
gdy myśmy oniemieli wprost z zachwyty w Grodnie,
dla pokoju nas zbrodnie pokrajały zgodnie.*

*I wtedy to, gdy Polsce już zdrowia nie stało,
żołnierz porwał płonącą chorągiew honoru
i raz wraz przypiekając ropiczące ciało,
wszedł szukać dla Ojczyzny zdrowia w krwawym boju.
I tam znalazł śmierć, ale śmierć na polu chwały,
a chorągiew kamraty mu z rąk odebrały.*

*I poniosły w kikutach, na drewnianych kulach,
tę płonącą krwią żywą poszarpaną szmatę
i walczyły za miljon, choć w jednych koszulach,
te bliznami zszywane, żołnierskie kamraty,
tłustym żartem zręczące o chłódzie i głodzie,
były tylko ten miljon obudzić w narodzie.*

*I nieśli ją, tę szmatkę pełną krwi i soli,
to taczkami przez Sybir, to cieniem szubienic,
to w rurach flint zrdzewiałych od pleśni niewoli,
to w bombach i masakrach wśród zimnych kamienic,
byle o ten krok dalej, byle o rok bliżej.
byle szmatkę tę dźwigać wyżej, coraz wyżej.*

*Lecz w kraju się utarło, że to wszystko duchy,
piękna bajka, przez wieszczów dla dzieci sklecona,
gdy rodakom nie Polski trzeba, lecz prażuchy,
bo żołnierz już ostatni, razem z szmatką skołał.
Tymczasem ten ostatni ukrył się na strychu,
by Polskę z dziećmiakami spiskować pocichu.*

*I w sierpniu, gdy świat cały dostał krwi udaru
i jął za tby się wodzić o bankierskie rynki,
z maleńkich Oleandrów, z szmatką miast sztandaru.
ten ostatni wypuścił na bieg maminsynki,
honorując ich nazwą ostatniej sztafety,
jaka jeszcze dojść mogła zmartwychwstania mety.*

*I doszła! Pokrwawiona, zszarpana na ćwierci!
Ale w ogniu stwardniała na stal i na djament!
I przez ogień gwiżdżąca w twarz spróchniałej śmierci
krzyżykiem podpisany żołnierski testament,
że ten żołnierz ostatni jest pierwszym w narodzie,
a ostatnia sztafeta znów pierwszą w pochodzie.*

*A te strzępy krwią słone, co z szmatki zostały,
mają szyszak rycerski Króla Ducha stroić,
na znak, że żołnierz polski to rycerz wspaniały,
co nie w napaść, lecz w honor przywykł bagnet zbroić,
i nie po to, by w Polsce Europa była,
lecz by wreszcie Europa się z Polską liczyła!*

*I niech nikt się nie cieszy, że my się skończymy!
Nie potośmy się dzieckiem prażuchy wyrzekli,
by doszedłszy do mety utyć od stontny!
A jeśliby już kiedyś jakąś pieczęć piekli,
to tę jedną, by wreszcie „smętek” i „tęsknica”
zdrowym, prostym uśmiechem rozjaśniły lica!*

*I jeśli jeszcze na coś liczymy w przyszłości,
to na dzieci, co do nas tęsknią po kwaterach,
że gdy nam już reumatyzm powykręca kości,
one znajdą się na czas przy naszych giwerach
i tę szmatkę jedyną, ten sztandar serdeczny,
po nas dalej poniosą, w miljonie bezpieczny.*

*„...Na świecie będąc węzami popędzę
Tę smutną ducha leniwą naturę,
Która opiera się, idącym w górę
I wieczny opór z dawnej formy stawia.*

Juljusz Słowacki.



W Karpaty hen, precz!

KAROL KRZEWSKI.

WSPOMNIENIE SIERŻANTA.

Jesienią 1915 roku, chyba w październiku, wracałem klnąc na czem świat stoi, do Brygady z kilkudniowego urlopu do Lublina. Święty — i ten kłąłby — jak legun.

Nie było chyba w całym batalionie oficera, któryby mnie o przywiezienie czegoś nie prosił.

Wiozłem więc niezliczoną ilość sprawunków (a było i szkło), związanych w parę sporych paczek, a droga z Lublina do Kowla dłużyła mi się przeraźliwie. Pociąg osobowy do Chełmna, a stąd skazany już byłem na t. zw. transporty.

Od roku 1915, jak mi stę zdaje, upłynęło dosyć czasu, aby z amatora i dyletanta człowiek stał się fachowcem.

Dziś wiemy, że każdy transport zależy od planu przewozu, składu, przelotności linii kolejowej i t. p.

Podówczas wiedziało się tylko tyle, że transport, który ugrzązł na jakieś stacji, nagle rusza dalej, a przeto nie liczył człowieka na to, że transport będzie pilnował ciebie, lecz ty się pilnuj transportu. Co do mnie — sprzymierzyłem się na jakiejś stacji z transportem ułanów austriackich, którym się wcale nie śpieszyło. Niemile to położenie niewolnika transportu i własnych paczek — proszę wierzyć!

Po kilku godzinach oczekiwania i zwalczania pokusy zrobienia zwiezionych paczek prowiantury, wtacza się na jakąś stację za Chełmem transport i to nie sprzymierzony, lecz własny bo legionowy.

Że to nie był transport 1-ej brygady, poznałem od razu z tego, że żołnierze mieli na swoich legionowych łbach — nie maciejówki (o! alt — polnische Kopfbedeckung!), lecz czapki rogate, a oficerowie — odznaki austriackie na kołnierzach.

Jak się okazało transport wiozł sztab i kompanię sztabową 2-ej brygady legionów.

Wobec tego postanowiłem jechać tym transportem, a trzeba wiedzieć, że byłem sierżantem linjowym 1 Brygady Józefa Piłsudskiego z trzema czerwonymi paskami na kołnierzu, z podobizną Komendanta (sprzedawaną przez N. K. N!) na maciejówce i we własnym przekonaniu nie tylko nie byłem kim, lecz, wogóle wielką poza Brygadą figurą. Anim się zatroszczył o dowódcę lub oficera inspekcyjnego transportu, lecz, podszedłszy śmiało do wagonu, poprosiłem jednego z „obywateli”, aby mi dopomógł przenieść paczki. Po chwili siedziałem w wagonie (40 ludzi lub 8 koni) pośród kompanii sztabowej II Brygady, a wkrótce jechałem z nią ku Kowlowi. Było to moje pierwsze zetknięcie się z żelazną Brygadą karpacką. Zaczęliśmy sobie gwarzyć na różne tematy, a wówczas okazało się, że w kompanii sztabowej pełni służbę od dłuższego czasu pewien „obywatel” z I Brygady, którego począłem wkrótce podejrzewać, że jest poprostu łazik. „Obywatel” ten, chcąc kolegom swym pokazać „równość” brygadową, tak w niej (w stosunku do mnie i moich papierosów) przesadzał, że się stał przykry.

Natomiast ta część kompanii sztabowej, z którą jechałem traktowała mnie przyjaźnie, i jako gościa, bawiła mnie jak umiała i po leguńsku. Jeden śpiewał po węgiersku, zarówno węgierskie (co jest zrozumiałe), jak i co dziwniejsza — piosenki legionowe (umrzeć ze śmiechu), drugi miał spracowaną talję kart, którą pokazywał cudowne „sztuki” a trzeci, czwarty i piąty zrazu zaimponowali mi. Proszę sobie wyobrazić — gadali po węgiersku ze sobą, jak Węgrzy rodowici. Był w pierwszej Brygadzie taki i siaki, który coś tam pluł z polską po węgiersku, ale to nie to. Kiedy zaś wsłuchałem się w tę mowę, węgierską, usłyszałem co następuje (pamiętam to dobrze, bo sam od owej pory wła-

dam znakomicie węgierskim): — „magyar ember november az est andrassy december nagy kiraly vereb...” — i t. d.

Żaden nawet okiem nie mrugnął! Udałem do końca wielce zdziwionego, że tak świetnie znają węgierski, a i to muszę dodać, iż do samego Kowla żaden nie zdradził tego, że ten węgierski język (istotnie z świetną wymową) należy do legionowego repertuaru nabierania naiwnych. W tem t. zw. „nabijaniu w butelkę” solidarność legionowa była zawsze juk mur, i jakże mi miło na tem miejscu stwierdzić, że to była od pierwszej chwili solidarność międzybrygadowa.

Wszystko odbyłoby się we wzorowym porządku aż do samego Kowla, gdyby nie to, że w wagonie, który sobie na ślepo wybrałem, przebywał piesek szefa sztabu II Brygady, kapitana sztabu generalnego Tovarka i, krótko mówiąc, Austriaka.

Piesek ten był na pieczy leguna — frajtra z kompanji sztabowej i z jego rąk pobierał psi faszunek. Na jednej ze stacyj zatroszczył się pan o psa i podszedł do mego wagonu. Psiak ujrzawszy pana, począł się wyrwać do niego i wesoło naszczekiwać, a pan począł pieszczotliwie przemawiać i strzelać palcami, przed nosem psiego stworzenia. A przemawiał do pieska swoim językiem służbowym (Dienstsprache), czyli polskim, ale polskim należącym do grupy wielu języków, objętych jedną wspólną nazwą Militär - slavisch. I nagle... Generalstabshauptmann Tovarek, szef sztabu II Brygady Legionów, przeniósł wzrok ze swego psiaka na mnie. I natychmiast nastąpiło zetknięcie się dwu wielkich ludzi, dwu światów, dwu bogów, stojących na dwu różnych końcach.

Bo proszę, zważcie bezstronnie.

Kim ja byłem dla takiego Tovarka? Nie byłem nawet chorążym. Byłem niczem.

A Tovarek dla mnie, sierżanta I Brygady, wywodzącego się z krakowskiego Związku Strzeleckiego, był takim samym trepem, takim samym „dziadem austriackim”, jak każdy inny trep i „dziad” i jeszcze gorszym, bo austriaczającym Legjony. Był dla mnie — niczem.

Nic dobrego z tego nie mogło wyniknąć i nie wyniknęło. Ale w pierwszej chwili zanosilo się na coś innego. Albowiem ku memu wielkiemu zdumieniu pan hauptmann Tovarek bardzo łaskawie i z lekkim zdumieniem powiedział:

„Acha! Obywatell”

Omal mnie tem nie ujął.

Nigdy umyślnie nie prowokowałem swoim zachowaniem się Austriaków. Kiedy do wagonu

podszedł Tovarek, wraz i innemi legunami wstałem z miejsca. Kiedy zaś stwierdził, że to ja jestem obywatelem, zsalutowałem mu uczciwie, ale... dwoma palcami i ani przez myśl mi nie przeszło drażnić tem durnego. Zrobiłem to automatycznie. A on mi na to, że ja niepotrzebnie „salutiruje jak cywilista”, bo on i tak widzi, że ja jestem nie żołnierz, lecz „student z obywatelskiej brygady”. I gdyby sobie poszedł, jak miał to zamiar uczynić, zmilczałbym mu to gadanie austriackie, ale cóż, gdy Tovarek na odchodnym dodał:

„Teraz my jesteśmy, albo my was nauczymy porządku. Nasza brygada jest żołnierska, nie obywatelska”.

Kto rzecz całą a krótko rozważy bezstronnie, ten przyzna, że siła austriackiego złego na jednego sierżanta I Brygady i to takiego, który się znajduje pomiędzy żołnierzami II Brygady. Toć byłem srodze dotknięty na honorze brygadowym, by tak rzec w obliczu II Brygady.

Więc rzekłem bez namysłu (jako — że pykaty byłem zawsze):

— Panie kapitanie! Obywatelską brygadę Komenda Legionów tyle czasu uczy, a ciągle jest obywatelska.

Więcej nie nie zdołałem wyrzec. Sam hauptmann Tovarack, muszę mu to przyznać, był dobrym oficerem sztabu generalnego, ale z tego względu jedynie, że miał t. zw. generalstabsumgang, umiał zachować się odpowiednio. Niegrzecznie to z jego strony, że mi nie pozwolił skończyć, ale miał po temu formalne prawo: w wojsku starszy ma prawo przerywać młodszemu. Natychmiast wyprosił mnie z wagonu, a dzięki temu i z transpotu—elegancko, bez tych linjowych krzyków i hałasów... Co oficer sztabu generalnego — to sztabu generalnego. Ani słowa.

Linjowy wyrzuca, sztabowiec wyprasza.

Jeżeli jednak pan hauptmann Tovarek myślał, że nie pojechałem dalej tym samym transportem (choć innym wagonem) — to źle myślał. Austriacki sztabowiec — sztabowcem, ale legun — legunem. Żołnierzy kompanji sztabowej II Brygady zachowuję po dziś dzień we wdzięcznej pamięci. Oni to bowiem pomagali mi (aż do Kowla) w odpowiedniej chwili wskakiwać i zeskakiwać z wagonu towarowego, co nie jest rzeczą łatwą nawet przy powolnym ruchu pociągu. Ta ostrożność wobec Towarka była jednak konieczna. Sicher ist sicher, jak powiedział Mannlicher, umieszczając na swym modelu bezpiecznik.

„Przyszłość macie wielką i świetną, ale ufajcie tylko samym sobie i budujcie tylko na własnej sile“.

Z testamentu gen. H. Dąbrowskiego.

MERWIN

SANITARJUSZE.

Długo się kolumna po drodze, jak wąż się wije i zapada gdzieś na rozdrożu...

Za kolumną sunie garść ludzi z czerwonymi krzyżami na ramionach, garść ludzi, dźwigających nosze, obłożonych ciężkimi pakunkami instrumentów i opatrunków.

Gdzieś, pod jakimś opłotkiem wre praca gorączkowa. Pochylone postacie, skupienia na twarzach; jest to miejsce opatrunkowe tuż za frontem.

Mrok zapada. Przed front wysuwają się w pojedynkę szare postacie i gubią się we mgłach. To sanitariusze obszukują pole zmagania, by tych, co o własnych siłach dźwignąć się nie mogą, sprowadzić, lub tych, którzy już śpią na wieki, przynieść...

Lecz jakże często ich samych, ich, którzy miesiącami, w setkach wypadków spieszą z pomocą — znosi się z pola! Ileż razy okupują krwią serdeczną swe wysokie posłannictwo!

Cichy jest sanitariusz i ma od tego bólu, który wokół niego stale się gnieździ, smutną, poważną twarz. Ale o jego bohaterstwie głośno mówić trzeba!

I pokłonić się przed wielkością tej skromnej postaci, która, by wyrwać ze szpon Kosiarza człowieka, sama pada jak zżęty kłos.

* * *

Nazywał się Tadeusz Kurpiel i był w drugim pułku sanitariuszem. W czerwcu 1915 roku Brygada dokonała pełnego chwały ruchu ofensywnego od Prutu w Głęb Besarabji, od Mamajestie poprzez Rokitną do Dynowic. Jednym z najważniejszych, decydujących dni ofensywy był 11 czerwca, dzień złamania frontu rosyjskiego pod Wite-

LUDWIK DUDZIŃSKI

URYWKI Z PAMIĘTNIKA...

6 sierpnia 1917.

Panuje niebywały ruch. Nic w tem dziwnego: dzisiaj przypada trzecia rocznica wyruszenia Strzelców Piłsudskiego na boje z najeźdźcą, dzisiaj jest nasze i Komendanta święto, przecież i w obozie możemy i musimy godnie uczcić rocznicę sierpniowego Czynu.

Wszyscy żołnierze, starannie ubrani i wyczyszczeni, z dziwną ochotą dążą na plac zbiórki swoich pułków. O godz. 9-ej schodzą się pułki i ustawiają w czworobok naokoło polowego ołtarzyka. Z samych twarzy łatwo wyczytać święto. Czekamy na księdza. Nareszcie zjawia się opasły kapelan skalmierzyckiego obozu, ks. Brandt, i przystępuje do odprawienia uroczystej mszy św. Zgrany chór Beliniaków, stojący tuż obok ołtarza, śpiewa pieśń za pieśnią: „Boże Ojcze...”, „Pod Twoją Obronę, Ojcze na Niebie...”, „Z dymem pożarów...”.

Msza skończona. Na przygotowanym podwyższeniu ukazuje się komendant Zosik-Tessaro i przemawia, rzadko zaglądając do trzymanego w ręku rozkazu dziennego:

„Żołnierze! Trzy lata mija od chwili, gdy narody Europy walkę wzajemną słowem i piórem zdecydowały zawiesić. Ryknęły działa: kurtynę straszego teatru wojny światowej, wśród trzasku karabinów, zerwano. Pierś zwarła się z pierśią, trysnęła krew. Słupy dymu i ognia w górę buchnęły. Wrzawa walczących i jęk mordowanych napełniły powietrze. — Struchlała Polska... błada i bezradna stanęła w pierścieniu ognia i żelaza. Każdy pocisk, choć nie do Niej skierowany — w Nią godzi. Gdzie spojrzeć — ręka polska pierś polską bagnetem roztwiera. Wkoło ogień i dym, co Jej gniazda rodzinne w niewecz obraca. Na Jej łonie walczą, ale nie za Nią, ani przeciw Niej. O Nią się biją, ale nie dla Niej. Jej synów krew się leje, ale nie w imię Jej praw, Jej interesów!

I oto wśród ogólnego zdrętwienia znalazł się jeden w Polsce człowiek co głowy nie stracił, rąk nie opuścił, miał siłę... — głosem doniosłym wołać On począł: „Żołnierzu polski! Stań! Nadeszła chwila rycerskiej dla Ojczyzny potrzeby”. A w głosie Jego było tyle potęgi i siły, tyle żaru miłości Ojczyzny, tyle wiary w Naród i w Siebie ufności, że... stał się cud! I ten, który był umarł... zmartwychpowstaje. I Polska szczególną bronią i polskie błysnęły bagnety. I Bło-

lówką i Zabobrówką, dzień wyparcia Rosjan do ena z Bukowiny, dzień wzięcia przez Legjony kilkuset jeńców, miljona nabojów, trzech karabinów maszynowych.

W tym dniu wdziera się sanitariusz Kurpiel w okop rosyjski, aby z niego wyjść ze 122 jeńcami rosyjskimi, którzy się mu poddali... Dostał za to mały srebrny medal waleczności.

W kilka dni potem, 17 czerwca, po odparciu przez drugą Brygadę pięciu ataków rosyjskich i wzięciu przeszło 1000 jeńców, między Rarańczą, gdzie były nasze pozycje, a Rokitną, gdzie okopał się wróg — stała na szczyrem polu opuszczona armata rosyjska. Obsługę i konie już wprzód nasi wystrzelali lub wzięli. Moskale siarczyście walili, by nikt nie doszedł. Wtedy to Tadzik Kurpiel z 15-letnim Antkiem Januszajtisem obmyślili „wycieczkę” po armatę.

Alboż to pod Zbarażem lub Częstochową Skrzetuski i Kmicie takich wycieczek nie urządzali? — powiedział Antek potem.

Więc suną wśród piekielnego ognia, dołają i — demontują działo. Wykręcili zamek, poniszczyli, co się dało — i śmieją się z ognia!

Wtem słania się Kurpiel. Kula przebiła mu

stopę. Antoś ładuje sobie na plecy zranionego kolegę i wraca z nim do swoich. Za „wycieczkę” i zdemontowanie działła dostał wielki srebrny medal.

Wywieźli Kurpiela do szpitala, a on, ledwo się podleczywszy i zgrubsza z rany wylizawszy, wrócił do pułku.

Jeszcze ciepło było i jeszcze hasać mógł pod okopami Rarańczy...

A kiedy złocić się poczęły liście i opadać, z początkiem października, i on też, jako jeden z najpiękniejszych kwiatów naszej młodzieży, padł... Podczas pełnienia obowiązku sanitariusza, przed frontem, śmierć go zżęła. Dostał w stos pacierzowy i odrazu go zamroczyło...

* * *

Nazywał się Leon Reissmann, pochodził z kieleckiego i był w 1 kompanji drugiego pułku. Po bitwie pod Lissowem, gdy już ciemności zasnuły widok, wylazł z okopu, by wykopać grób dla kolegi, który za dnia padł.

W dzień ani przystąpić do miejsca, wciąż było bowiem ostrzeliwane. Ale w nocy Leon postanowił pogrzebać przyjaciela, z którym ruszył na

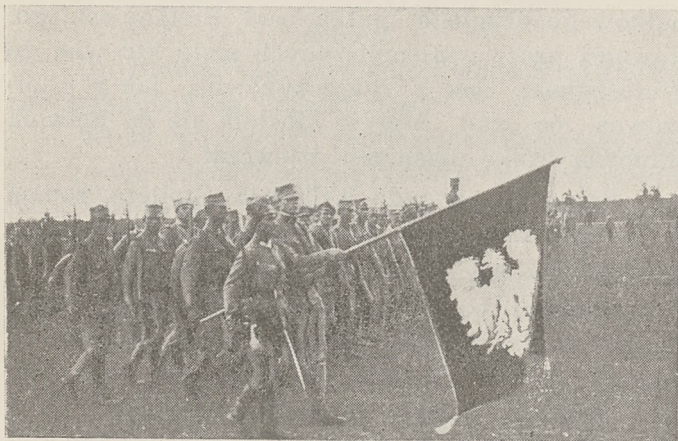
nia krakowskie powlokły szaro polskie mundry. I spojrzawszy w żołnierskie oblicza, młodzieńczym zapałem tchnące, szczęściem promieniujące, na ręce wątle, żądzą czynu nerwowo drgające, mówił Komendant:

„Żołnierze! Oto rozpoczęte są śmiertelne zapasy wszech narodów o prawa swoje. Oto polskiego Narodu tam brak, bo nie stało tych, co krew w Jego imieniu przelewać mogli. Pójdźcież, by postawić Naród Polski w gronie wolnych walczących narodów. Krew wasza ma spłynąć do serc wystygłych rodaków i żarem swoim rozpalić je tak, by potęgą i żądzą czynu zabiły. Krew wasza ma się z krwią wrogów Ojczyzny mieszać i łącznym popłynąć strumieniem, bo ona jedynie moc kruszenia kajdan Narodu posiada. Pod moimi pójdziecie rozkazami. Wszczę światową sławę oręża polskiego w nasze złożono ręce z ufnością, że czynami swemi blaski jej nie tylko zachować, lecz podnieść zdołamy. Prowadzić nas będzie królewski Ptak, co niegdyś Państwa, dziś Narodu znakiem. Przewodźcie nam będą rycerskie duchy przodków naszych...”

I padły słowa polskiej komendy i ruszył żołnierz polski śladami ojców na pole krwi, trudów i chwały. To dzień 6 sierpnia 1914 roku.

Potem długie trzy lata walk, bohaterskich wysiłków i nadludzkich ofiar. Wędrując borem i lasem, żołnierz polski obficie skrapiał krwią i kośćmi własnymi zasiewał ziemię ojczystą. Wśród szczęku broni, nieustannej wrzawy bitewnej minęły 6 sierpnia 1915 i 1916 roku. Dziś tom pierwszy naszych dziejów zamknięty!

Spójrzmy poza siebie i obrachunek zestawmy. Nie czynów, nie krwi i trudów, nie zwycięstw żołnierskich, bo na to mamy czas, ale obrachunek urzeczywistnionych nadziei, spełnionych zadań, osiągniętych celów. I oto widzimy: Naród nasz, z gnuśności i apatji wyrwany, z pleśni niewoli podłacej ducha otrząsa się, coraz goręcej czuje i myśli po polsku. Stare tradycje oręża polskiego, nowymi świetnymi czynami zbogacone, żywymi się stały. Sprawa Narodu przed forum Europy i świata całego wniesiona. To są zdobywcze wagi pierwszorzędnej, zdobywcze, których wartość ulegać dyskusji nie może i których nikt i nie wydrzeć nam nie jest w stanie! Są i rezultaty, tak zwane realne. A więc ustąpienie z ziemi naszej tych, przeciwników ostrza polskich bagnatów zwrócone były, a więc ustanowienie tymczasowego rządu polskiego, a ściślej mówiąc, nie polskiego, ale złożonego z Polaków!



4 p. p. leg. w Piotrkowie.

wojnę i z którym na polu bitew złączył się braterskimi węzły.

Kopie mu w piachu jamę.

— Ja sam — powiada do otaczających go — ostatnią przyjacielowi chcę wyświadczyć przysługę.

— Za krótki kopiesz grób — powiada jeden.

— Ale gdzie tam — Reissmann na to — dość wielki. Popatrzcie, i jabym się w nim pomieścił.

Wskakuje do wykopanej przez się jamy i kładzie się.

— W sam raz dla mnie!

Wychodzi z jamy i... w tej chwili zabłąkana kula bzyknęła stojącym wokół nad uchem.

Leon Reissmann leży już obok jamy, a z przestrzelonej piersi bucha krew.

Złożyli go później do grobu, który sam wykopał, jego i przyjaciela. Grób był dość wielki. Zawarł obu...

* * *

Nazywała się Marja Błaszczyk i była sanitariuszem w drugim pułku. Nie sanitariuszką. Nikt w Janie Tadeuszu Zaleskim z 9 kompanji, noszącym na plecach tornister i ciężkie tłumoki żołnierza sanitarnego, przybranym w szary mundur polowy, z bagnietem u boku — nie byłby poznał młodziutkiej, pięknej panny Błaszczykówny z Łodzi, która w lecie zaciągnęła się do Legjonów i wytrwale a ciężko pracowała w swym przydziale służbowym. Tylko kilku wtajemniczonych wiedziało, że Zaleski to wcale nie Zaleski, jeno młoda dziewczyna. A kto nie wiedział, ten po zachowaniu się Zaleskiego nie mógł tego poznać.

Te ostatnie zdobycze, acz realne, są wielkościami zmiennymi, to też znaczenie ich jest dzisiaj jeszcze pojęciem względnem. Marzeniem, celem ofiar i wysiłków żołnierza polskiego — było stworzenie własnego rządu. Krwią żołnierza cementowane stało podjum dla rządu przeznaczone. Niemcy wywiesili nad nim „rząd dla Polaków“! Chwiejny, bojaźliwy, bez władzy i powagi zgodził się trwać, choć mając pretensję polskim się nazywać, wiedział dawno i wie, że parawanem jest tylko, przysłaniającym rzeczywisty stosunek Niemców do Polski przed oczyma świata!

I rząd ten, którzy w najdrobniejszej kwestji prawa decyzji nie posiadał, który o włos ciężkiej doli gnębiętego Narodu polskiego poprawić nie mógł — w jednym z wypadków otrzymuje od swych mocodawców upoważnienie, uchwała swą kompetencję i wydaje żołnierzowi polskiemu rozkaz pamiętnej przysięgi. W rocie przedłożonej, detronizując siebie, każe, by żołnierz polski ślubował wierność i ślepy posłuch okupantom. I oto z rąk tego rządu pada grom, co w puch wojsko nasze rozbija — dorobek pracy trzyletniej niwecz! I oto z woli tego rządu tysiącom żołnierzy polskich broń z ręki wytracono. Z jego to woli i ku jego pohańbieniu — żołnierzy, których bohaterskim wysiłkiem krwi przelanej rząd istnienie swoje

zawdzięcza — do niemieckiego obozu jeńców wtłoczono! Ten! Co wskrzesicielem i prawdziwym wodzem żołnierza polskiego był w polu, co ster nawy narodowej ujął w silne dłonie, gdy burze dziejowe szaleć poczęły i w otchłań pogrzyżyć ją chciały, a odwagi i rąk do pracy zabrakło — dzisiaj — w więzieniu! Żołnierz polski, którego ojczyzna przez Jego usta do potrzeby rycerskiej wezwała, dziś, jak zbrodniarz, drutem otoczony i bagnietami... Oto dzień 6 sierpnia 1917 roku.

Ale Jego żołnierzy nic nie złamie i nic zachwiać nie zdoła! Więc w górę serca! Choć dziś w kajdanach — jutro z podwójnym zapalem staniemy do pracy! Wiemy, że Sprawa nasza jest świętą i będzie zwycięską. Wierzymy, że:

„Kiedys Chrystus zwycięży Judasza.

Choć wielu padnie —

Lecz przyszłość nasza!”

Brak mi słów na określenie, z jaką siłą i gwałtownością przemawiał Zosik. Chyba wśród nas niema w tej chwili nikogo, w kimby nie wzbudziło się postanowienie — przetrwać i zwyciężyć! Ze wszystkich piersi wyrывa się zgodny, jak grom, potężny okrzyk: — Niech żyje Piłsudski!

Na zakończenie popłynęły ku niebu słowa „Roty” i „Jeszcze Polska nie zginęła...”

* * *

Boć tyle młodych, chłopięcych, rumianych twarzy-
czek w Legjonach...

W bitwie pod Bielgowem do sanitariuszy
9 kompaji dolatuje wieść, że sanitariusz 8 kom-
panji, Jan Oksiuta, skrwawił się w polu...

Dziwny zajaśniał błysk oczu Zaleskiego —
gorączką zapałała twarz — ciężko zafalowała mło-
da pierś dziewczęca...

Rzuca się w wir szalejącej przed frontem
walki.

Musi dotrzeć do Oksiuty, pomóc, ratować,
spojrzeć raz jeszcze w jego oczy...

Nikt, ani on, o tem nie wiedział.. Nie wie-
dział, że kolega Zaleski to...

Pognała w wir. Nie bacząc na nic.

Już jest w pobliżu Oksiuty... Już jest przed
jego ciałem.

Drżącemi rękoma rozdziera pakiecik opatrun-
kowy, przykładając do krwawiącej rany Oksiuty,
a w tej chwili sama zwała się nań, martwa..

Ekrazytówka ją przeszyla. Popłynęły dwa
strumyki krwi i złączyły się razem...

* * *

Nazywała się — nie, żyje, więc powiedzmy:
Alfred Wołoszyński i jest sanitariuszką — nie,

sanitarjuszem na miejscu opatrunkowym lekarza
pułkowego drugiego pułku, d-ra Stefanowskiego.
Również prócz wtajemniczonych mało kto wie, że
Wołoszyński, jak i Błaszczykówna, jak i Kepi-
szówna, co nad Styrem dostała się do niewoli,
stanowią trójkę dzielnych dziewcząt.

Przynoszą z pola Wilhelma Stollera, rodem
ze Lwowa, Legioniste, ciężko rannego, Zegar szra-
pnelowy rozdarł mu piersi, pogruchotał.

Spojrzał nań dr. Stefanowski, nałożył opa-
trunek, pogłaskał po głowie i odwrócił się do
innych, czekających kolei.. Nie do wyratowania...
musi zemrzeć... pożyje może jeszcze godzinę...

A ciężko ranny chłopak leży przez jakiś czas
cichutko, aż nagle krzyczeć poczyna:

— Pomagać!... pomagać!... pomagać!...

Smutno spoglądają po sobie obecni. Poma-
gać... Chłopcze, tobie tu na ziemi nikt i nie po-
móc nie może.

A on coraz chrapliwiej, coraz namiętniej
krzyczy:

— Pomagać!... pomagać!...

Przystępuje po raz wtóry dr. Stefanowski do
noszy, na których chłopak leży, mówi kilka do-
brych słów, głaszcze po głowie.

Wesoło gwarzą na dworze liczne gromady
żołnierskie, bo i po dwie marki z uzbieranych
w kraju składek dostali, bo i obiad, dopiero co
pochłonięty był lepszy... Wesoło gwarzą, bardzo
wesoło...

A od strony niemieckiej kancelarji obozowej
miarowym krokiem zbliża się patrol, z nałożonemi
na broń bagnetami. Wchodzi do czwartego bloku.
Nie wraca sama: w środku niej idą w zwyczajnych
bluzach kpt. Zosik-Tessaro, por. Rzecki, ppor. Sza-
franowski — wszyscy z pierwszego pułku piecho-
ty. Zostali aresztowani i uprowadzeni za to że
złożyli odznaki oficerskie i ze swymi żołnierzami
dobrowolnie przybyli tutaj. Za to, że zdobyli się
na akt największego — jak sobie można wyobra-
zić — poczucia odpowiedzialności za los podko-
mendnych i dali dowód najszczytniejszego pojmo-
wania obowiązków przełożonego.

Żegnajcie, kochani!

7 sierpnia.

Powoli przychodzimy do siebie i rozmyślamy
na temat: będą dalsze represje, czy nie będą?

Godzina trzecia i pół. Popatrz, popatrz... Do
obozu wkroczył cały bataljon landszturmistów
w pełnym rynsztunku. Dowódca wydał komendę
naładowania broni — złowrogi szcęk zamków ka-
rabinowych już chyba wszystkich wywabił z ba-

raków. Bataljon podzielono na półkompanje, któ-
re zaraz roztarasowały się u wejścia do naszego
bloku. Niema co — rozumujemy — wystrzelania
nas jak kaczek, narazie nie potrzebujemy się oba-
wiać, ale wywiezienie pod tą eskortą w głąb Nie-
miec, jest bodaj murowane. Oto proszę: kazali
nam zabrać manatki, koce i sienniki i ustawić się
na swoich placach. Kucharze i sanitariusze legjo-
nowi również stoją na zbiórce — zastąpili ich przy-
słani Moskale.

Wszyscy podoficerowie — na odprawę!

Oho, ładny szmat drogi nas czeka... Ale cze-
muż to podoficerowie kordonem bagnetów zostali
opasani?... Czemu patrol do pierwszego bloku wcho-
dzi i wszystkie gęby leguńskie tak uważnie prze-
gląda? Nic nowego pod słońcem — szukają ofice-
rów. Prowadzi patrol szpieg niemiecki, służący
w Legjonach, Arnold Kirschenbaum. Indywiduum
to nadrabia bezczelną miną, kurząc zawzięcie cy-
garo — dar swoich chlebobawców. Stanowczo nie
ma szczęścia: W pierwszym, w drugim i następ-
nych blokach, nie rozpoznał żadnego oficera.

Teraz kolej na grupę podoficerską, otoczoną
obok kuchni. Stać przed tyloma inteligentami,
w dodatku szelmosko uśmiechniętymi — kłopot to
nielada. Conajmniej połowa podoficerów ma pre-
zencję godną munduru oficerskiego; taki obywatel
równie może być autentycznym kapralem lub plu-

A on przeszywającym głosem wciąż:

— Pomagać!.. pomagać!..

Dr. Stefanowski powiada: Podać strzykawkę; zastrzykniemy na uspokojenie.

Wtem podchodzi sanitariusz Wołoszczyński:

— Ja wiem, o co mu chodzi. On chce powiedzieć „pomodlić”, a może wydobyć z siebie tylko słowo „pomagać”.

I przyklękawszy przy noszach, poczyną swym dziewczęcym głosem:

— Ojcze nasz, któryś jest...

Ojcze... nasz... któ... ryś... — wtóruje cichutko uspokojony już chłopak, a błogi uśmiech wykwilił mu na bladej twarzy.

W sali opatrunkowej robi się cicho jak makiem zasiał. Słyszać tylko anielski dwugłos: dziewczyny sanitariusza i umierającego Legjonisty.

— Bądź wola Twoja...

Bądź... wo... la... Two... ja... — powtarza za tą jedyną, która odgadła intuicją dziewczęcą ostatnie życzenie umierającego.

Twarz jego robi się coraz pogodniejsza, głos coraz melodyjniejszym, cichszym. Jakby na najcieńszą strunę nałożono tłumik...

Gdy cichutko szepnęła „Amen” — skonał...



Pantyr Pass.

tonowym, jak i poszukiwanym już rotmistrzem Dreszerem, kapitanem Biernackim, czy Grzmotem-Skotnickim.

Po dobrej dziesiątce mylnych wskazywań, szpieg zdołał wreszcie zdemaskować dwóch oficerów 4 p. p.: kpt. dr. Kołłątaja i por. Ostrowskiego. Jeszcze nie doszli aresztowani oficerowie do wartowni, gdy na dany sygnał półkompanje wtargnęły równocześnie do bloków i rozpoczęły gorączkową rewizję. Wywracane na wszelkie możliwe strony plecaki i chlebaki omal w powietrzu nie fruwały, tak gorliwie szukało prusactwo broni i bagnetów. Rewizja przyniosła pono okropny rezultat: skonfiskowano jeden pistolet siekańcowy z XVIII wieku, rączkę z masy perłowej od floweru i dwa kunsztownie wykonane bagneciki. Wróciwszy po trzech godzinach do baraków, zastaliśmy koce i sienniki porozrzucane w niemilościerny sposób, ba! nie szczędzono nawet woliny, której kłęby szpetnie się poniewierały.

Nie koniec na tem. Niewyczerpani jeszcze w pomysłach Niemcy, trzymanym pod strażą pod-

oficerom wyznaczają na kwatery ósmy blok, przez nikogo dotąd nie zajęty. Jest to arcyprzejrzysta koncepcja zmierzająca do powolnego wyłapywania oficerów, których gros właśnie ukrywa się między podoficerami, a następnie do izolowania nas od ich moralnych wpływów, by rozluźnić wewnętrzną spistość naszą, a później przedstawić światu i społeczeństwu polskiemu „wywrotowo - rewolucyjne skłonności bandy Piłsudskiego”. Istnieje także druga ewentualność mocno prawdopodobna—wprowadzenie usilnej agitacji za składaniem przysięgi wehrmachtowskiej.

Nie uspokojono się jeszcze po bogatych przeżyciach dzisiejszego popołudnia, gdy do każdego z bloków, wróciło po jednym plutonowym i dziesięciu kaprali. Plutonowi jako komendanci bloków, a kaprale — jako komendanci sal.

Między przybyłymi do nas kapralami przezwarcował się ppor. Koc, w ułańskim bloku znalazł się także rtm. Dreszer. Jedyna to niespodzianka, która cokolwiek orzeźwiła pogrążone dzisiaj w depresji żołnierstwo.

*Gdzie są granice zupełnej już niemożności,
tam się dopiero kończą obowiązki obywatela.*

Walerjan Dzieduszycki.

WŁADYSŁAW BELINA-PRAŻMOWSKI.

PIERWSZY PATROL STRZELECKI.

Wakacje 1914 roku miałem spędzić na szkole oficerskiej Związków Strzeleckich. Wraz ze mną wybierało się na szkołę dwóch młodych chłopców z Sandomierskiego. Jeden z nich, Stasiek Skotnicki (Grzmot) miał przyjechać wprost ze Szwajcarii, drugi Antoni Jabłoński (Zdzisław) wyjeżdżał ze mną z Sandomierza. Odprowadzali nas do Wisły wszyscy nasi bliźsi znajomi. W czasie pożegnań zażartowałem, że jedziemy na szkołę z ostreми nabojami. Wówczas matka Zdzisława zwróciła się do mnie z prośbą, by wrazie wybuchu wojny Zdziś poszedł wraz ze mną, co też jej przyrzekłem.

Po przyjeździe do Krakowa objąłem dowództwo kompanji szkolnej w Oleandrach. Lecz nie długo nią dowodziłem. Na drugi dzień zostałem wezwany do Komendanta Głównego na ulicę Siemiradzkiego 27. Komendant rozkazał mi oddać dowództwo kompanji zastępcy, a samemu dobrać sobie paru ludzi, którzy wraz ze mną mieli udać się na jakąś ekspedycję, związaną z mobilizacją Moskali w Sandomierskie. Wybrałem, rozumie się, swoich sandomierzaków. Ekspedycja ta z nieznanymi mi bliżej powodów nie doszła do skutku, natomiast 2 sierpnia zostałem ponownie wezwany do sztabu głównego. Tam Komendant wydał mi rozkaz poprowadzenia patrolu w Jędrzejowskie celem rozbicia mobilizacji Moskali w tym powiecie, wyjaśniając, iż patrol ten jest bardzo niebezpieczny i że jest 90% pewności że wszystkich nas powieszą. Na zapytanie moje, ilu ludzi Komendant mi przeznacza—odpowiedział: jak najmniej, pięciu, sześciu. Po targach z mej strony stanęło na siedmiu. Ludzi miałem wybrać na ochotnika ze swej kompanji szkolnej. Ja tylko i drużyniak Bończa-Karwacki, jako znający dobrze okolicę, szliśmy z rozkazu. Wówczas szef sztabu Sosnkowski zapytał mnie, kogo mam zamiar zabrać z sobą. W pierwszym rzędzie wymienilem obu swych sandomierzaków. Na Jabłońskiego zgodził się bez zastrzeżeń, natomiast o Skotnickim wyraził się: „Co, ten lalusz?—nie będzie miał ochoty iść na pewną śmierć i odmówi”. Bardzo energicznie zaprzeczyłem, dowodząc, że krew sandomierska nigdy nie zawodzi. W dalszym ciągu ustaliliśmy listę kandydatów, którym miałem zaproponować wyprawę.

Po powrocie do Oleandrów niezwłocznie przez

dyżurnego podoficera wezwałem do siebie kandydatów na przyszłych ułanów.

Nie zapomnę nigdy tych krótkich rozmów z nimi, gdy po kilku moich wyjaśnieniach ogólnych o celu wyprawy — prosto, po żołniersku, w dwóch słowach, decydowali się stawić wraz ze mną swoje młode życie na jedną kartę. Pierwszy wszedł Jabłoński. Na moją propozycję odpowiedział prosto: „Ty idziesz, ja z tobą”. Skotnicki wbrew przewidywaniom szefa strzepnął tylko palcami i ze zwykłą werwą powiedział: „Psiakrew, idę”. Dalej Janusz Głuchowski, Stefan Hanka-Kulesza i Ludwik Kmicie-Skrzyński bez namysłu wyrazili swą zgodę.

Zaczęły się gorączkowe przygotowania do wyprawy, bo w myśl rozkazu nad ranem już mieliśmy przekroczyć kordon graniczny, jadąc do granicy w cywilnych ubraniach: dopiero na terenie Kongresówki wolno nam było włożyć mundury. Podoficer broni Świątełko wybierał karabiny, tornistry i naboje, specjalni kurjerzy rozbiegli się po mieście, szukając dla nas cywilnych marynarek i nakryć głowy, a podciwy dr. Ruppert zajął się wyekwipowaniem sanitarnem, obciążając nas rozmaitemi gazami, jodynami, gumami do przewiązywania, jakby każdy z nas był conajmniej podoficerem sanitarnym.

W tym czasie Komendant konferował z moimi ochotnikami, przedstawiając im niebezpieczeństwo i dając cztery godziny czasu do namysłu. Bajecznie odpowiedział Komendantowi Janusz Głuchowski: „Komendancie my już raz zdecydowaliśmy się i już nie chcemy się namyślać, bo przez cztery godziny myślenia moglibyśmy tylko osiwieć, a decyzji nie zmienimy”. Konie mające nas wieźć do granicy, zarekwirowaliśmy koledze uniwersyteckiemu, Kozłowskiemu, który ze swoich Przybysławiec w tym dniu przybył do Krakowa.

O godzinie 10 wieczorem mieliśmy się stawić wszyscy na pierwszą polską odprawę wojenną w głównym sztabie. Komendanta nie było, przeprowadzał konferencję z Austriakami. Zastępował go szef Sosnkowski. Po zdaniu przeze mnie raportu szef w dłuższej przerwie żegnał nas i pocieszał: „Choć będziecie wisieć, ale zato spełnicie piękny swój obowiązek żołnierski i historia o was nie zapomni”. Na pożegnanie wyczałował się ze

wszystkimi. Po wyjściu ze sztabu zauważyłem rozrzucone miny mego patrolu, a ponieważ pozostały do wymarszu jeszcze dwie godziny, poprowadziłem wszystkich do Hawelki na kieliszek wiski.

Tu dopiero zorjentowaliśmy się, jak wyglądamy w dorywczo zebranych cywilnych ubraniach.



„Szedł ulan” raz na odpoczynek”...

Kelnerzy o mało nie wyprosilili nas za drzwi. Do małego stolika przeniosła się cała banda oficerów strzeleckich, którzy wiedzieli o naszej wyprawie, aby pożegnać się i wypić strzemienne. W miłej pogawędce humory się ożywiły.

O godzinie 12.30 wyruszyliśmy na dwóch podwodach w kierunku granicy. Kordon mieliśmy przekroczyć pod Baranem koło Kocmyrzowa, gdzie stanęliśmy nad ranem. Na granicy dowiedzieliśmy się że Moskale cofnęli się, ale silne patrole miały przebiegać okolicę.

O świcie, nałożywszy mundury i bagnety na broń przekroczyliśmy kordon graniczny. Przemówiłem parę słów do swoich żołnierzy, podkreślając szczęście i zaszczyt, jaki ich spotkał, że są pierwszymi żołnierzami zmartwychwstającej Polski, którzy otwarcie z bronią w ręku łamią kordony dzielące ojczyznę.

Plan mój dalszej akcji polegał na tem, żeby niepostrzeżenie przemknąć się koło większych oddziałów nieprzyjacielskich, kierując się na Goszyce, Skrzyszowice, Działoszyce, pod Jędrzejów, po dojściu w najbliższe okolice Jędrzejowa zatrzymać się w lesie i przeprowadzić wywiad, w tym samym czasie z materiału wybuchowego jaki posiadaliśmy, złożyć bomby. Przy pomocy takich bomb mieliśmy

wywołać popłoch w mieście i uderzyć na załogę Jędrzejowa. Gdyby siła nieprzyjaciela okazała się za duża, akcję postanowiłem przeprowadzić w nocy i po zarzuceniu bomb i ostrzelaniu miasta, korzystając z ciemności, cofać się w kierunku Krakowa. W marszu na Jędrzejów, o ile nie spotkamy większych oddziałów nieprzyjacielskich, mieliśmy rozpuszczać między ludnością wieść, że jesteśmy patroliem wywiadowczym silnej grupy strzelców, która maszeruje za nami, by w ten sposób wzniecić popłoch wśród władz moskiewskich, będących jeszcze w Jędrzejowie.

W celu łatwiejszego przedostania się pod Jędrzejów zmieniliśmy mundury na cywilne ubrania i odwrotnie kilkakrotnie. W Goszycach zatrzymaliśmy się na pierwszy popas u p. Zofji Zawiszanki, drużyniaczki z Krakowa. Przyjęto nas bardzo gościnnie, udzielając wszelkich wiadomości i zaopatrując w nowe konie do bryczek, które mieliśmy dalej jechać. Stąd też wysłałem przez p. Zawiszanekę pierwszy meldunek do Komendanta do Krakowa. Dalszą drogę do Działoszyce odbyliśmy bez żadnych przygód. Dopiero w Działoszycach, gdyśmy jechali w cywilnych ubraniach z bronią ukrytą, spotkaliśmy strażnika i kilka osiodłanych koni przed urzędem gminnym. W razie zaczepki z jego strony byliśmy gotowi zabić go. Browning trzymałem w garści. Przejechaliśmy jednak niezaczepieni. Strażnik spojrzał bystro na nas i natychmiast odwrócił głowę, udając, że nas nie widzi.



Hradyski 1916 r.

Około południa zatrzymaliśmy się na popas w lesie w okolicy wsi Adam. Po godzinnym postoju ruszyliśmy w dalszą drogę, tak obliczając, by przed wieczorem stanąć pod Jędrzejowem. Po gwugodzinnym marszu w odległości 10 kilometrów od Jędrzejowa spotkaliśmy grupki ludzi powracających z mobilizacji, którzy nam opowiadali że władze rosyjskie z miasta uciekły, ponieważ od Krakowa na Jędrzejów, maszerują strzelcy, widziano



już ich jakoby w Działoszycach, a oni powracają do domów, bo niema ich kto brać do wojska. Zarządziłem jeszcze dalszy marsz, ale po drodze spotykaliśmy coraz to większe partje powracających rezerwistów. Informacje ich zgadzały się z poprzednimi. Okazało się, że nasz pomysł rozpuszczania wieści o strzelcach, maszerujących z Krakowa, był bardzo dobry i że władze moskiewskie, dowiedziawszy się o tem, opuściły Jędrzejów. Wobec tego uznałem zadanie swoje za spełnione i postanowiłem wracać do Krakowa, przeprowadzając po drodze wywiad na Słomniki.

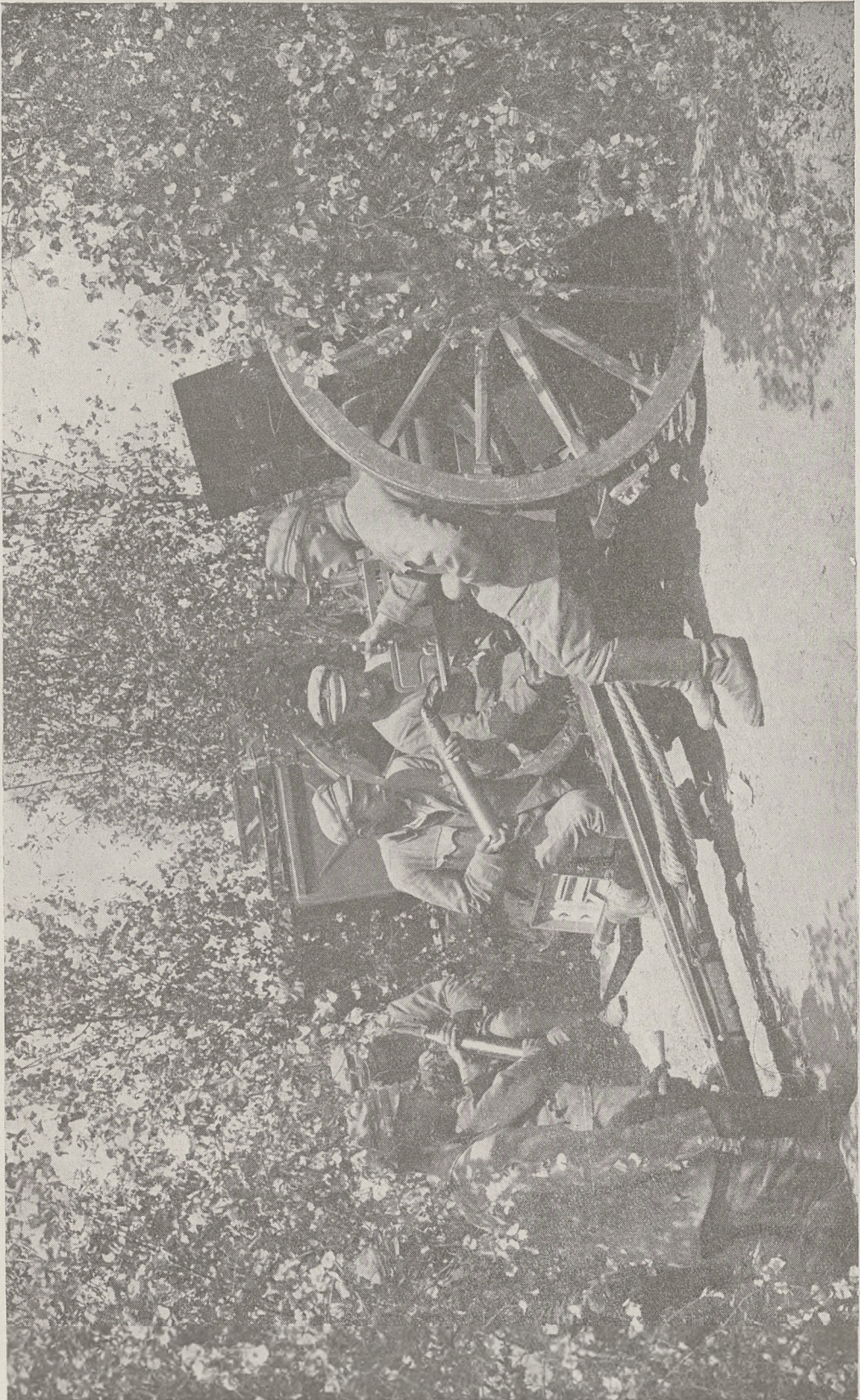
Pod Słomniki dotarliśmy już pociemku. Zatrzymaliśmy się w polu, wysyłając do miasta bryczką Janusza i Bończę dla sprawdzenia, jakie wojsko i w jakiej ilości jest w mieście. Po powrocie swym ze Słomnik zameldowali mi, że w Słomnikach na rynku stoi brygada pogranicznej straży i w krótkim czasie ma odmaszerować w kierunku na Miechów i Jędrzejów. W pierwszym momencie miałem zamiar urządzić zasadzkę koło szosy. Po zbadaniu jednak naszych materiałów wybuchowych okazało się, że w drodze gdzieś zgubiliśmy zapalę, a efekt zasadzki w 7 karabinów był wątpliwy. Zaniechałem przeto urządzenia zasadzki, tylko podsunąwszy się do szosy, obserwowaliśmy ukryci w zbożu nieprzyjaciela maszerującego tuż koło nas.

Na noc stanęliśmy w polu pod wsią Prędocinem, ubezpieczając się jednym posterunkiem od strony Prędocina — Słomnik. Noc była ciemna. O świcie nasz posterunek zauważył w odległości paruset kroków posterunek nieprzyjacielski, o czym niezwłocznie powiadomiono mnie, dodając, że zostaliśmy zauważeni. Wobec tego wysłałem ponownie Janusza i Bończę bryczką na zwiady i wyjaśnienie sytuacji. Po powrocie zameldowali mi, że w Prędocinie, odległym od nas o pół kilometra, stoi szwadron pograniczników, że już są zaalarmowani i mają niezwłocznie opuścić wieś. Kazałem włożyć bagnety na broń i w tyraljerce pomaszerowaliśmy na Prędocin. Szwadron nieprzyjacielski opuścił ją bez strzału w kierunku wschodnim. Gdy przechodziliśmy koło kościoła, miejscowy ksiądz stał na wzniesieniu i żegnał nas krzyżem, a my pomaszerowaliśmy z powrotem na Skrzyszowo-Goszyce. W Skrzyszowicach u p. Kleńczyńskiego zarekwirowałem pięć koni, które były pierwszemi końmi przysłanego pułku ułanów. Stamtąd też pomaszerował z nami młody Dzik-Kleńczyński, późniejszy oficer 1 pułku ułanów.

Dalszą drogę odbyliśmy bez żadnych przeszkód.

Po przybyciu do Krakowa zdałem raport Komendantowi i odmaszerowałem ze swymi chłopcami do Oleandrów, by być znów gotowym do wymarszu za parę dni na dłuższe trudy wraz z pierwszą kadrową kompanją.





„W czasach, kiedy umysły chore na sofisterję pozwalają sobie o wszystkim rozprawiać na prawo i na lewo, rozum chowa się w ostatnim szańcu, w sercach ludzi czujących...”

„Człowiek pełen poświęcenia może pomylić się tylko względem siebie, może siebie zgubić. Względem ojczyzny jest on nieomylny!...”

Adam Mickiewicz

TADEUSZ FELSZTYN

STRZELECTWO.

W dniu 5-go sierpnia, w przeddzień Zjazdu Legionistów, rozebrzmia strzelnice całej Polski potężnym grzmotem strzałów. W Warszawie najwyższe władze państwowe uświetnią swym czynnym udziałem owe masowe zawody o zdobycie odznaki strzeleckiej, za których inicjatywę Zarządowi Głównemu Zw. Legionistów złożyć należy najszczerze wyrazy podziękii.

W ten sposób tegoroczny Zjazd Legionistów stanie się czynną propagandą na rzecz sportu strzeleckiego.

Sport strzelecki! Ileż jest osób, nawet wśród Legionistów, którzy usłyszawszy te słowa, wzruszają w duszy ramionami. Wiadomo, strzelało się na wojnie, strzela się podczas służby wojskowej na ćwiczeniach rezerwy, ale gdzie w tem wszystkim sport? Czy ktoś kiedy widział, by np. sport robić z musztry?

A poza tem — w piłce nożnej widać bieg, wysiłek. W skoku czy rzucie oszczepem piękny ruch ciała i grę mięśni. A w strzelaniu?

Leży ci taki sobie, trzyma broń, naciska spust, strzał pada, pokazali mu coś na tarczy — ot cała zabawa. Przecież to żadna sztuka, żaden wysiłek — a więc i żaden sport.

W ten sposób myśli wielu, tych oczywiście, którzy nie strzelają.

Otóż właśnie nie. Jeśli pod pojęciem „sport” zgodzimy się rozumieć wysiłek, mający na celu takie opanowanie własnego ciała, ażeby wyciągnąć zeń maximum możliwej sprawności, to strzelectwo będzie sportem w pełni tego słowa znaczeniu, sportem może jeszcze bardziej wszechstronnym, niż wiele innych rodzajów sportu, bo sportem rozwijającym zarówno układ mięśniowy, jak i układ nerwowy człowieka.

Przedewszystkiem trzeba zerwać z mniemaniem, że strzelanie nie wymaga wysiłku. Spróbujmy oddać w ciągu godziny 40 strzałów, broń Boże, nie z „kopiącego” karabina wojskowego, ale z lekkiej broni boczego zapłonu. A jeżeli uczy-

nimy to sumiennie, to przekonamy się po stanie naszego zmęczenia, ile to nas kosztowało wysiłku.

Strzelectwo przyczynia się do rozwoju cielesnej jednostki. Przedewszystkiem rozwija ono wzrok, tak jak żaden inny rodzaj sportu. Precyzja oka dobrego strzelca jest wprost fenomenalna.

A że mamy mało w życiu codziennym sposobności do rozwijania tego tak przecież ważnego naszego organu, to też w sporcie strzeleckim mamy cenną dziedzinę rozrywki, uzupełniającą ten tak dotkliwy brak.

Poza tem kto chce być dobrym strzelcem, ten musi mieć silne ręce, ażeby nie drżały pod ciężarem broni, musi mieć mocne i dobrze rozwinięte mięśnie nóg, ażeby zapewniały dobre oparcie ciała w czasie oddawania strzału, musi mieć harmonijnie i celowo rozwinięte mięśnie całego ciała, ażeby zapewniły mu mocną, niewymuszoną, a jednak jak z żelaza ulaną postawę.

Strzelanie szybkie, strzelanie do celów ruchomych, wyrabiają w strzelcu zdolność szybkiej orientacji, prędkiej decyzji, natychmiastowego wykonania powziętego postanowienia, cechy tak przecież cenne dla rozwoju jednostki w dzisiejszym pośpiesznym trybie życia.

Ale nie w tem leżą istotne walory sportu strzeleckiego. Jest on bowiem przedewszystkiem doskonałym środkiem opanowania naszego systemu nerwowego.

O ile w innych dziedzinach sportu nasza wola zwycięstwa, nasz impuls działania wyładowuje się w chwili decydującej w postaci mniej lub więcej gwałtownego ruchu, stanowiąc tem samem odprężenie i dając możność ujścia energii, o tyle w strzelectwie najwyższe napięcie walki objawia się w formie absolutnego spokoju.

Obserwujemy strzelającego zawodnika. Najdrobniejszy, niepozorny wprost ruch jego ręki, najmniejszy niedostrzegalny błąd oka, decyduje o tryumfie i przegranej. I w tej oto decydującej chwili, kiedy wola strzelca napięta jest do najwyższego poziomu, ciało jego musi być nawskroś

opanowane. Oddech musi być równy i spokojny, serce nie śmie drgnąć ani o takt więcej, mięśnie napięte, a jednak swobodne — inaczej przegrana pewna. I oto cała olbrzymia energia woli znajduje ujście jedynie w spokojnym, równym ruchu palca wskazującego.

Trzeba samemu strzelać, aby zrozumieć, ile woli, ile wysiłku kosztuje tego rodzaju napięcie energii, nie znajdujące żadnego ujścia, jak doskonale trzeba opanować swój system nerwowy, by dojść do tej doskonałości.

Sport strzelecki jest więc w dążeniu opanowania naszego systemu nerwowego sportem wprost jakby do tego stworzonym, sportem, ośmieliłbym się powiedzieć, jedynym.

W naszym wieku, kiedy gorączkowy tryb życia codziennego odbija się przedewszystkiem na stanie naszych nerwów, strzelectwo nerwy te hartuje, uczy zwyciężać spokojem, a nie nerwowym wysiłkiem, uczy opanowania siebie w chwili decydującej, wyrabia ludzi, którzy w najcięższym momencie swego życia, w najzaciętszej walce, która decydować może będzie o ich losie, zachować potrafią kamienny spokój i zimną, spokojną orientację.

Nie trzeba chyba dowodzić, jak cenne są te cechy w dzisiejszej burzliwej epoce, kiedy tak każda jednostka, jak i cały naród niejedną jeszcze mają próbę przed sobą.

Sport strzelecki ma ponadto duże bardzo znaczenie dla państwa.

Mimo przeszłe i przyszłe postępy techniki wojennej, człowiek zachował i nazawsze zachowa decydujące znaczenie na polu walki. Od niego, od jego woli zwycięstwa, od jego umiejętności przetrwania i opanowania siebie, zależy wynik boju. Im więc cięższą jest walka, tem bardziej opanowanym musi być człowiek, który ją prowadzi. Dlatego też przyszła wojna stawiać będzie nerwom każdego żołnierza wymagania o wiele wyższe, niż wojna przeszła.

A jakie znaczenie dla rozwoju nerwowego jednostki ma strzelectwo, omawiałem wyżej: I praktyka pola walki, potwierdza to rozumowanie. Istotnie, dobrzy strzelcy byli zawsze najodważniejszymi żołnierzami. Spokojni, opanowani, ufni w swą broń, nie marnowali oni nigdy gorączkowo swych strzałów, nie dawali się opanowywać panice, lecz wyczekiwali chwili odpowiedniej, ażeby oddać ze swej broni strzał decydujący, niezawodny.

A jako przykład odwrotny, niech służą smutne wspomnienia roku 1920, kiedy to całe bataliony, złożone z rekrutów nie umiejących strzelać, a więc więcej ufających swym nogom, niż swej broni, dawały się bez oporu wycinać w pień watahom Budiennego,

Dlatego też słusznie wartość bojową danego oddziału, poznaje się przedewszystkiem po jego umiejętności strzelania.

Nie trzeba zaś chyba dowodzić, że im więcej w kraju ludzi, którzy dobrze strzelają, tem więcej będzie w czasie wojny i dobrze strzelających żołnierzy.

Ponadto dobra umiejętność strzelania, skraca poważnie czas konieczny na zamianę spokojnego obywatela państwa, na pełnowartościowego żołnierza. A to w naszych warunkach geograficznych, przy stosunku ilościowym naszej ludności do ludności naszych sąsiadów, bynajmniej jest nie do pogardzenia.

W zrozumieniu tych oczywistych prawd, wszystkie państwa zawsze dążyły do rozprzestrzenienia sportu strzeleckiego u swych obywateli. Dążenia te widzimy najwyraźniej u naszych wschodnich i zachodnich sąsiadów, gdzie liczba strzelających wynosi już nie setki tysięcy, ale miliony.

Przykładem narodu, który szczupłą swą liczbę wyrównuje wspaniałym rozwojem swego strzelectwa, mogą być Szwajcarzy, u których strzelectwo jest sportem w pełni tego słowa narodowym, u których każde zawody strzeleckie to święto, ściągające przeolbrzymie rzesze ciekawych, u których ani parlament ani też żaden z obywateli nie szczędzi grosza, gdy o potrzeby sportu strzeleckiego chodzi.

To też, jeżeli w czasie wojny światowej obydwie strony walczące starannie przestrzegały granic szwajcarskich, to bynajmniej nie z obawy gór, których przekroczenie przy dzisiejszych środkach technicznych nie stanowiły żadnej trudności, jak z obawy celnych strzałów, które z za gór tych paść mogą.

Nie jest bynajmniej rzeczą przypadku, że życie i rozwój sportu strzeleckiego w Polsce, ściśle są związane z życiem i pracą Zw. Strzeleckiego. Związek ten wskrzeszono w 1919 roku jako jedno z pierwszych swych zadań, wysunął na czoło uprawianie i propagowanie sportu strzeleckiego, jako sportu obrony narodowej.

Już w 1921 roku w epoce najgorętszych prac organizacyjnych, mimo tysiączne przeszkody, jakie napotyka na swej drodze ze strony polityków, więcej dbałych o dobro swej klikki czy grupki, niż o dobro państwa, nawiązuje Zw. Strzelecki ścisły i nieustannie zacieśniający się węzeł z Międzynarodowym Związkiem Strzeleckim, a równocześnie usilnie propaguje sport strzelecki w kraju.

W roku 1921 otrzymuje Zw. Strzelecki ze strony M. S. Wojsk. mandat na kierowanie i reprezentację sportu strzeleckiego w kraju i zagranicą. Mandat ten potwierdzony w roku 1929 przez P.U.W.F. i P.W. staje się podstawą prawną kierowania

wniczej roli Zw. Strzeleckiego w sporcie strzeleckim.

Prawo moralne do tego kierownictwa zdobywa jednak Zw. Strzelecki własną pracą. Już od 1921 roku organizuje on szereg imprez o charakterze lokalnym i ogólno-krajowym, propaguje i omawia zagadnienia sportu strzeleckiego na łamach swych oficjalnych organów „Strzelca”, „Przeglądu Strzeleckiego i Łuczniczego”, opracowuje programy, regulaminy i zasady sportu strzeleckiego, powołuje do życia szereg związków poświęconych sportowi strzeleckiemu o charakterze tak centralnym, jak i lokalnym.

Już w roku 1921 odbywają się pierwsze Narodowe Zawody Strzeleckie we Lwowie przy udziale 174 zawodników. Następne zawody odbywają się w 1925 r. w Krakowie, 1927 i 1928 w Toruniu.

Dostęp do zawodów tych ma każdy zawodnik. Stąd też i poziom strzelań jest bardzo różnolity. Obok strzelań, mogących śmiało się mierzyć z wynikami najlepszych strzelców świata, mamy i bardzo mierne wyczyny początkujących. Program strzelecki jest wiernym odbiciem programu międzynarodowego, bez żadnej próby nawet jakichkolwiek oryginalnych poczyniń.

Stan ten był zresztą zrozumiały i nie do uniknięcia. Pierwsze kroki są zawsze najcięższe, a charakter propagandowy w owym czasie wybił się na czoło, nadając tem samem zawodom strzeleckim w latach 1924 — 1928 specyficzny ich charakter.

Rok 1929 stanowi punkt zwrotny w życiu polskiego sportu strzeleckiego. Wykorzystując dotychczasowe wyniki propagandowe swych poprzedników, w oparciu o stworzone przez nich podwaliny, wytyczają nowi kierownicy Zw. Strzeleckiego, nowy śmiały kierunek polskiemu sportowi strzeleckiemu. Obok programu międzynarodowego, uwzględniającego potrzeby reprezentacji zagranicznej, zjawiają się w nowym programie coraz liczniejsze strzelania specjalne, dostosowane do polskich potrzeb i polskich warunków pracy.

Główny wysiłek położono na prace organizacyjne. Rzucone w 1929 roku hasło strzelectwa masowego, realizuje się w dwojaki sposób. Pierwszym z nich, to stworzenie „Polskiego Związku Broni Małokalibrowej” w celu rozpowszechnienia strzelania z owej, mało jeszcze u nas rozpowszechnionej broni, która taniością swej amunicji i wyjątkową wprost celnością swego strzału, stanowi najznamięnitszy sposób propagandy strzelectwa. Drugim, to wprowadzenie w 1930 roku „Odznaki Strzeleckiej”, jako środka, mającego przyciągnąć do strzelania, a adeptów jego skłonić do nieustannego doskonalenia się. Służy do tego podział na klasy, konieczność odnawiania odznaki strzeleckiej co roku, coraz wyższe wymogi, sta-

wiane do zdobycia odznak wyższej klasy, wielka różnolitość strzelań, dająca możność każdemu wyboru tych konkurencyj, które najbardziej odpowiadają jego upodobaniom i jego zdolnościom.

Rzucony siew rychło daje plon. Ożywienie w sporcie strzeleckim staje się tak żywiołowe, że trzeba szeregiem zarządzeń uzgadniać jego formy organizacyjne, normalizować przepisy, regulaminy, terminy i rodzaje strzelań, system eliminacji, tarce i t. d. Rok rocznie wydawane wytyczne, wykazy strzelań i regulaminy Zawodów Narodowych służą temu celowi.

Strzelanie z broni „małokalibrowej” (obecnie zwanej bronią „bocznego zapłonu”) stało się w ciągu kilku lat popularne w Polsce. Szereg przyczyn złożyło się na to, że strzelanie z broni wojskowej nie mogło rozwinąć się w tym samym stopniu. Celem przyspieszenia jego rozwoju stwarza Związek Strzelecki w 1931 roku „Polski Zw. Broni Wojskowej i Dowolnej”.

Również w 1931 roku zostaje powołana do życia Główna Komisja Dyscyplinarna, a w 1932 roku Polskie Kolegium Sędziów Strzelectwa-Łuczniczych, obie instytucje mające nadzór nad czystością sportu strzeleckiego i prawidłowym przebiegiem zawodów.

Coraz bujniej rozwijające się życie sportowe—strzeleckie wymaga organu, któryby mógł nadawać jego pracom właściwy kierunek, gdzie mogłyby się ścierać poglądy, gdzie możnaby opracowywać wytyczne i przepisy. W tym celu zostaje powołana do życia w 1932 roku Naczelna Rada Strzelectwa, grupująca, pod przewodnictwem Komendanta Głównego Związku Strzeleckiego, przedstawicieli: Zw. Strzeleckiego, Polskiego Zw. Strzelectwa Sportowego (powstałego w b. r. z fuzji Pol. Zw. Broni Małokalibrowej i Polskiego Zw. Broni Wojskowej i Dowolnej), Polskiego Związku Łowieckiego, Polskiego Zw. Łuczników, Zjednoczenia Kurkowych Bractw Strzeleckich R. P. i Polskiego Kolegium Sędziów Strzel.-Łuczni., — szereg zaproszonych przez Związek Strzelecki wybitnych znawców i organizatorów strzelectwa oraz delegatów Departamentu Piechoty M. S. Wojsk. i P. U. W. F. i P. W.

Prace Naczelnej Rady Strzelectwa doszły dziś tak daleko, że już w 1934 roku będzie można powołać do życia nowy zupełnie oryginalny polski system sportu strzeleckiego, który — korzystając z dotychczasowych doświadczeń—nada mu inną linię rozwojową, jaknajściślej odpowiadającą zasadniczemu jego celowi: obronie narodowej.

Rozwojowi organizacyjnemu odpowiada i wzrost poziomu. Z roku na rok każdorazowe zawody narodowe (w 1930 i 1931 roku we Lwowie, a w 1932 i 1933 roku w Poznaniu), w których od 1931 roku mogą brać udział jedynie ci, którzy mają conaj-

mniej I klasę Odznaki Strzeleckiej, przynoszą coraz wyższe wyczyny, corocznie padają nowe rekordy, rok rocznie pojawiają się nowe gwiazdy na firmamencie strzeleckim.

Wzrasta i nasz prestige na terenie międzynarodowym. Odbyte w roku 1931 we Lwowie międzynarodowe zawody strzeleckie przy udziale 18 narodów świadczą wynikami swemi, że strzelcy nasi dorównują już najlepszym zawodnikom świata, przewyższając ich nawet w tych strzelaniach, które specjalnie odpowiadają celom naszego strzelectwa.

Łucznicy nasi zdobywają w 1931 i 1932 roku zespołowe i jednostkowe mistrzostwo świata, na czele federacji łuczniczej staje Polak. Delegaci nasi biorą żywy udział w międzynarodowych kongresach strzeleckich, wybierani stale w skład komisji technicznych, którym kongres powierza najzawilsze problemy do rozstrzygnięcia.

O stanie ilościowym sportu strzeleckiego świadczyć mogą następujące cyfry: w roku 1925 mimo, iż udział w zawodach dostępny był dla wszystkich, z trudem udało się zebrać 200 zawodników: dziś liczba uprawnionych do udziału w zawodach narodowych wynosi bezmała 3.000 osób, a liczba zgłoszonych na zawody narodowe 1026 osób. Ilość zdobytych odznak strzeleckich klasy trzeciej wynosi dziś w przybliżeniu 150.000.

Jest to dużo, jeśli porównamy stan naszego strzelectwa z przed trzech lat. Jest to jednak

mało, jak na 32 milionowe państwo, mało, jak na naród, który jedynie w własnej cnocie rycerskiej szukać musi swej wielkości i swego bezpieczeństwa.

Odwieczna prawda dziejowa, którą nieubłagana rzeczywistość nieustannie przed oczy stawia narodowi polskiemu brzmi, że nie pisane pakta, nie płaczliwe pacyfistyczne zawodzenia, ale jedynie zbiorowa wola wszystkich obywateli Państwa stanowi niezawodne bezpieczeństwo, jego puklerz.

Cóż jednak warta jest wola obrony, jeżeli nie kryje się za nią obrony tej umiejętności. Cóż znaczy ręka, przysięgająca, że „Nie damy ziemi“, jeżeli właściciel jej nie nosi na piersi Odznaki Strzeleckiej, owego widomego znaku, że zaborczemu sąsiadowi przeciwstawić jest zdolen nietylko słowo, ale i zbrojny czyn.

Dlatego też tak gorąco powitać należy uchwałę Zarządu Głównego Zw. Legionistów, który jako tegoroczne hasło zjazdowe rzucił propagandę strzelectwa. I życzyć tylko trzeba, by wszyscy ci, którzy w wykonaniu tego hasła staną na strzelnicach, by zdobyć odznakę strzelecką, zakosztowali w tym pięknym sporcie i w zrozumieniu, że to nietylko sport, który daje najwięcej satysfakcji uprawiającym go, ale i obowiązek każdego dobrego obywatela — stali się gorącymi strzelectwa adeptami i propagatorami.



Rokina...

BRONISŁAW PESZKOWSKI

TEATR POŁOWY 1 BRYGADY LEG. POL.

Któż z legionistów nie znał tego przedziwnego teatryku, tego tak miłego żołnierskiemu sercu „bałaganu”, tego swoistego i niezrównanego wytworu wisielczego, legionowego humoru! Widziały go i podziwiały wszystkie brygady Legionów; krzepił w polu dziesiątki pułków w czasie wojny polskiej; objechał front od Dźwińska przez Baranowicze, Kijów, Sarny, Kowel, Lublin znowu na północ do Lidy i Mołodeczna; przebył całą drogę krzyżową 1 p. p. w r. 1917 od Modlina po Przemyśl i front włoski; zapuszczał zagony głęboko na „Hinterland” ku ucieście serc żołnierza P. O. W. i społeczeństwa, skupionego w obozie Marszałka; dotarł do najdalszych południowo-zachodnich krańców Polski: Zakopane, Nowy Targ, Nowy Sącz, i t. d.

Towarzyszyła mu wszędzie miłość i przywiązanie żołnierzy, uznanie przełożonych, zachwyty cywilów. Stał on się kiedyś pokarmem duchowym szerokich rzesz żołnierskich; ich chlebem codziennym, nałogiem niemal. Zaprawdę jak ongiś lud rzymski wołał „panem et circenses” tak żołnierz I brygady, a później I dywizji, uważał, że obok „fasunku” chleba i rumu ma jeszcze prawo uradowania swej duszy kilka razy w miesiącu we własnym teatrze żołnierskim i z przywileju tego korzystał w całej pełni.

Powstał niezapomniany ten teatryk w roku 1916 nad Stochodem za sprawą znanego wesołka I pułku Karola Bois’ego, który wybudowawszy z kilku kolegami w lesie scenę z darni, desek i płócien namiotowych, urządził pierwsze przedstawienie 24 września tegoż roku i program jego przeważnie sam wykonał. Przedstawienie zaszczylił swą obecnością ob. Szef, prawie wszyscy oficerowie brygady i takie tłumy żołnierzy, że nie tylko wszystkie miejsca siedzące i stojące były wypełnione, ale i wszystkie drzewa okoliczne dosłownie oblepione były słuchaczami.

Sukces był olbrzymi. Wiara bez względu na szarżę z zachwyty wyła, gwizdała, tupała, klaskała, manifestując zadowolenie takim np. niezwykłym objawem hojności, jak rzucanie papierosów na scenę i masowem pakowaniem drobnych monet do puszek składowej, wiszącej przed sceną z przewidyującym napisem: „nie pluć!”

Po tem przedstawieniu, powodzenie teatru było zapewnione.

„Teatr Korpusu Pomocników” jak go pierwotnie nazwał Bois’o, robiąc złośliwą aluzję do utworzonego wtedy przez Austrię z Legionów — Polskiego Korpusu Posiłkowego, rozwijał się od-tąd bardzo szybko, dzieląc wszystkie losy I pułku.

Kiedy nastąpił t. zw. kryzys przysięgowy, kiedy w Legionach zapanowało ogólne rozgoryczenie i depresja, kiedy zaczął wkradać się zamęt i dezorientacja, teatr stał się moralną podporą żołnierzy, wlewał w dusze nowe siły, krzepił skołatane serca, przywracał hart, wzbudzał zawziętość i upór w wytrwaniu mimo — jak się zdawało — beznadziejności sytuacji. Stał się też szybko ulubieńcem żołnierzy.

Ówczesny komendant pułku, obecny gen. Rydz-Śmigły, orjentując się jaką wartość moralną posiada teatr, wyłączył amatorów-artystów z kompanji, gdzie dotąd mieli przydziały. dał im wspólne pomieszczenie i wspólny przydział do kompanji sztabowej i w czem mógł wspierał go materialnie. W ten sposób powstał rodzaj zawodowego teatru żołnierskiego. Zaszły też ważne zmiany w wewnętrznym składzie teatru. Dyрекcję objął po Boise’em sierżant Michał Lewicki z zawodu profesor gimnazjalny, wznosząc odrazu teatr na znacznie wyższy poziom estetyczny, na którym utrzymał się już do końca istnienia.

W czasie przebywania Legionów na t. zw. organizacji w r. 1917, szczególnie w czasie pobytu teatru w Modlinie, stał się on miejscem tłumnych wędrówek cywilnej ludności, którą przyciągał do obozu I brygady. Niezapomniane były przedstawienia w Modlinie po aresztowaniu i wywiezieniu do Magdeburga Komendanta i płk. Sosnkowskiego, oraz w Siedliskach pod Przemyślem przed wciele-niem pułku do wojska austriackiego i wywiezieniem go na front włoski. Napływ cywilnej publiczności był tak wielki, że ilościowo dorównywał niemal żołnierstwu. Tam to miał biedny legun-tułacz sposobność wyskarżyć się przez usta aktorów na swój los, nakłąć i napomstować na sprzymierzeńców i w rezultacie pokazać swój zadarty nos — nawet w tej sytuacji — całemu światu. Efektem był pod koniec obu owych przedstawień powszechny płacz cywilów i gęste pociąganie nosem szarej wiary, mimo gwałtem fabrykowanych buńczucznych min i cynicznych uśmiezków.

Do dziś dnia wspominają ze łzami w oczach niektórzy uczestnicy walk na włoskim froncie, przedstawienie w San Fior di Sotto, gdzie znękaną tułaczką dusze leguńskie starał się pocieszyć wisielczym humorem aktor Teatru Połowego Hajduga w świetnym monologu, zaczynającym się od słów: „Legunie-pierunie kaś ta wlaź!”

Kiedy po przewrocie listopadowym zaczęły się formować wojska polskie, będący wówczas w Lublinie gen. Rydz-Śmigły pomyślał natychmiast

o zorganizowaniu na nowo swojego teatru. Wyszukano tedy dawną wiarę i ściągnięto do Lublina. Kierownictwo administracyjne objął ówczesny ppor. Peszkowski, zaś literackie ppor. Lewicki.

Nowozorganizowany teatr zachował całkowicie tradycję dawnego Teatru Polowego I Brygady. Po krótkich pracach przygotowawczych w Lublinie udał się on do Grupy gen. Rydza-Śmigłego w Dźwinku i odtąd nie opuszczał już frontu aż do końca roku 1921, pracując ciągle w składzie grupy, armji, frontu tego swojego Protektora, aby później skończyć znowu w 1 Dywizji Legionów.

Jak kiedyś do serc legunów, utorował sobie teatr drogę teraz do serc szerokiej rzeszy żołnierskiej, wzbudzając niesłychany entuzjazm wszędzie, gdzie się pokazał. Każde przedstawienie odbywało się przy szczelnie nabitej sali. Tłumy żołnierzy odchodziły od kasy bez biletów. W niektórych miejscach postoju napływ publiczności był tak wielki, że obok wejścia i kasy ustawiono posterunki złożone z 6 ludzi, dla utrzymania bezpieczeństwa. Wiara niejednokrotnie zdobywała dostęp do kasy pięścią. W Lublinie wyłamano zupełnie oprawną w beton barierę żelazną grubości ludzkiej ręki.

Jakaż była tajemnica powodzenia tego teatru, jedyne go pomiędzy teatrami, jakie widziała kula ziemiska? — Przedewszystkiem humor. Żołnierz ma ciężkie życie tak na froncie jak i w koszarach; jeżeli szedł do teatru to chciał się bawić, śmiać, ryczeć, zapomnieć o śmierci, o subordynacji, o swoim kapralu i o całej tej doli, jakże nieraz przykrej! Dalej, poziom teatru musiał odpowiadać poziomowi umysłowemu, inaczej nic albo mało rozumiał — i jego psychicznie, albowiem to najlepiej do niego przemawiało, co się tyczyło jego samego, jego życia, jego krzywd i jego tęsknot.

To wszystko dawał mu Teatr Polowy, gdzie aktorami byli żołnierze znający dokładnie jego życie, rozumiejący jego duszę i umiejący się dostosować do jego poziomu. Każdy program teatru był tworzony przez grających lub w najgorszym razie odpowiednio przerabiany. Żołnierz widział na scenie samego siebie, widział swoje wady, nauczył się śmiać ze swoich słabostek, wstydzić się za tchórzów, być dumnym ze swej ciężkiej pracy. W ten sposób bawił się i wychowywał równocześnie. Z drugiej strony teatr umiał utrafić w sentyment żołnierza,

w jego przywiązanie do ziemi, tęsknotę do domu rodzinnego, miłość do dziewczyny. Jakżeż miał żołnierz nie kochać takiego teatru?

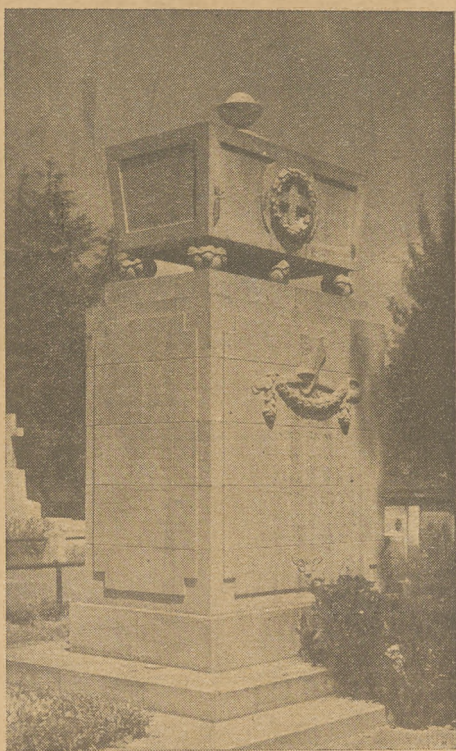
Mając raz na zawsze „zdobytą” publiczność, mógł Teatr Polowy robić z nią to co chciał, oddana mu bowiem była bez granic. Mógł ją śmieszyć, rozrzewniać, karcić.

Robił to zawsze bardzo umiejętnie a przede wszystkim wychowywał. Wyrabiał w żołnierzu ciężką, odwagę, ofiarność, poczucie honoru, lekceważenie trudów i przykrości życia wojkowego, a przede wszystkim przywiązanie do osoby Komendanta (Naczelnego Wodza) i wiarę w niego. Te właśnie walory wychowawcze zjednały Teatrowi Polowemu uznanie przełożonych, których poparciem i pomocą zawsze się cieszył i dzięki którym mógł się tak szybko rozwijać i doskonalić.

Nic dziwnego, że teatr taki związał się ściśle ze wspomnieniami wojennymi tych wszystkich, którzy mieli sposobność być choćby przez krótki czas jego bywalcami. Każdy niemal legun z I brygady, każdy zapewne żołnierz b. 2 i 3 Armji pamięta do dziś świetne dziadowskie piosenki Hajduki, przy których trzęsła się od ryku największa sala; niezrównane kroniki żydowskie Icka Lewi (Lewickiego); piosenki Peszkowskiego i Murzynka Jastrzębskiego; tańce solowe „primabaleriny” Drabika, a przede wszystkim sztuki, owe jedyne na świecie „operobujdy”, pełne ruchu, komizmu, śpiewu, tańca i aktualności, osnute na melodjach żołnierskich i ludowych, tak czepiających się ucha, że tygodniami nie można się od nich oderwać. Z pośród nich do historii przejść powinny: „Legun-Herkules między cnotą a rozkoszą” (M. Lewickiego), „Wężyk leguński” (Ostrowskiego) a przede wszystkim sławny „Legun w niebie” (Lewickiego), z czasów kryzysu przysięgowego i Szczypiorna.

Dziś rozpięchło się bractwo leguńskie szeroko po świecie, rozlecieli się też członkowie Teatru Polowego. Niemniej jednak raz po raz z okazji jakiejś uroczystości budzi się pragnienie odnowienia tych miłych przeżyć i wtedy ktoś występuje z inicjatywą skrzyknięcia dawnych „aktorników”. Bo tak jest związany Teatr Polowy z przeżyciami legunów, że przy każdej sposobności powraca się do niego wspomnieniem i trudno już bez niego wyobrazić sobie święto leguńskie.





Pomnik poległych pod Rokitną